

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 2. VII. 1950 r.

Nr 26 (257)

Jan Aleksander Król

WPROWADZENIE

W początkach marca b. r. wyruszyło około stu pisarzy w teren, do fabryk i gromad wiejskich na okres trzech miesięcy. Akcja ta ma przełomowe znaczenie dla rozwoju naszej współczesnej literatury.

Nastąpiło wreszcie masowe zbliżenie się pisarzy do nowego życia. Dali oni dowód przekonania, że ostatecznie o rozwoju literatury decydują te same czynniki, które rozstrzygają walkę o wyzwolenie mas. Ze trzeba znaleźć się na osi walki klasowej, która na obecnym etapie ruguje elementy kapitalistyczne i przyspiesza wzrost elementów socjalistycznych w kraju. Ze nie ma mowy o dynamice literatury bez związku z dynamiką społeczną.

Mineły trzy miesiące. Nadchodzą sprawozdania pisarzy. Walny Zjazd Delegatów Z. Z. L. P., obradujący w tych dniach w Warszawie, winien uczynić z tych sprawozdań przedmiot specjalnej dyskusji. Trzeba pogłębić pierwsze doświadczenia literatów na ich drodze do spełnienia zadań pisarza socjalistycznego.

Zamieszczamy we „Wsi” kilka takich wypowiedzi sprawozdawczych. Wiązanka ta mimo, że nie upoważnia do generalizowania zagadnienia, zwraca uwagę na trudność, jakiej muszą przelać pisarze, aby móc dostrzec istotną, klasową treść narastającej rzeczywistości. Celową zatem będzie analiza tej wiązanki i jej ocena.

Co możemy z niej odczytać? Listy sprawozdawcze pisarzy — po pierwsze — potwierdzają doniosłość podjętej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki pierwszej wielkiej akcji wyjazdowej w teren.

„Nowe realia i nowi ludzie” — oto odkrycie, które stało się tematem. Oto argument nowej rzeczywistości, którego wymowę muszą również zrozumieć wszyscy pozostali pisarze. Wóz albo przewóz. Jeśli tworzyć i być twórczym, to znaczy sięgnąć do nowych nie tylko zakresów „realiów”, do nowych *historiografii*. Nie tylko do nowych ludzi w znaczeniu innych bohaterów, niż ci, którzy dotąd zapełniali burżuazyjną i drobno-mieszczanską powieść — do reprezentantów *nowych, rozstrzygających* sił społecznych!

Listy pisarzy wyrażają upojenie, równe i podobne tym milonowym masom, które po latach bezrobocia otrzymały w nowej produkcji. Nie trzeba sztucznie wymyślać — czytamy w listach — tworzywo samo wchodziło do ręki, mamy co brać. To upojenie jest gustywnie, może i powinno zmobilizować wszystkich pisarzy. Ale dlatego należy szczególnie rozpatrzeć źródła i nurt z jakiego to powszechne upojenie wypływa.

Co występuje pod pojęciem „nowych realiów” w listach pisarzy? Ośrodki produkcji: fabryki, kopalnie, P. G. R., spółdzielnie produkcyjne. Słowem to, co jest rzeczywistością naszą dzwignią w walce klasowej o wypieranie elementów kapitalistycznych i szybki wzrost socjalistycznych. Ale skokowego uprzedmiotowienia (Plan 6-letni) i stopniowej przebudowy rolnictwa na model socjalistyczny nie można oglądać i przedstawiać w oderwaniu od walki klasowej, której te procesy są właśnie dzwignią!

A w sprawozdaniach pisarzy wiążek ten jest więcej niż rozdzielony — prawie zanika. Rozwoju sił wytwórczych, rozmachu i tempa produkcji — nie ustawiają pisarze ani w perspektywie przeciwstawienia antagonizmów, wzmaganych coraz ostrzejszą walką klasową, ani w perspektywie pierwszych założeń przeciwieństwa nie antagonizmów, w perspektywie konfliktów socjalistycznych.

A. Jackiewicz pisze: „Zafascynował mnie wysiłek załogi, zainteresował mnie problem wzajemnej współpracy robotników, inżynierów i uczonych”. Dla I. Krzywickiej: Żyrardów to „jakieś oddanie pracy produkcyjnej”. J. Przewłocka chce napisać książkę o marynarzach, w którejby „pulsowała energia, wyzwolała reklamą przodków pracy, palący i trymerów”. Z. Fijas apeluje do pisarzy o pieśń na cześć pracy spółdzielni ogrodniczo-warzywniczych aby wzmocnić ich wyjątkowość, która jak mu się wydaje, zależy tylko od ambicji zawodowej działaczy — ogrodników i ich racjonalizacji produkcji i jej zbytu. J. Koprowski stawia kropkę nad „Pracą — to jest ten główny czynnik, poruszający serca i umysły ludzkie”. J. Brzoza stwierdza, że na kopalni „Anna”, „bumelanctwo prawie nie istnieje, roboty wykonane są solidnie. U Wł. Dunarowskiego znajdujemy pełną wykładnię takiego, wyzwalonego z toku walki klasowej, rozwoju produkcji w Polsce Ludowej i jej wpływu na

masę chłopską. „Zatem na przeobrażenie zupełnie wsi góralskiej wpływają nowe narzędzia pracy, korzystniejsze warunki pracy na roli, możliwość zbytu produktów, bliskość miasta oraz kolei, sąsiedztwo zakładów przemysłowych, świetlica i partia”.

Nie i jeszcze raz — nie! Na przeobrażenie zupełnie wsi na to, że może „zafascynować” wysiłek załogi fabrycznej, że „praca porusza serca i umysły robotników”, że wzmaga się „oddanie jej”, że roboty są „wykonywane solidnie” wpływa walka z wrogiem klasowym. Wpływa rosnąca świadomość tej walki w klasie robotniczej i wśród chłopstwa drobno i średniorolnego.

„Pamiętajmy — mówił minister Berman do pisarzy na konferencji przedwyjazdowej — że walka toczy się w skali międzynarodowej, że nie jesteśmy odizolowani, że jesteśmy obiektem bardzo zacieklej penetracji wroga, ekspozytur amerykańskiego imperializmu, ekspozytur, które rekrutują się z robotników i niedobitków klas druzgotanych, kapitalistów obszarowych, policjantów, dwójkarzy i wykolejeńców”.

Myśmy na plenum Centralnego Komitetu (III) zmobilizowali czujność klasową i dzięki zmobilizowaniu tej czujności potrafiliśmy ułożyć nie jeden spiszek, nie jeden zamek, nie jeden wypad wroga i ta dramatyczna walka pełna napięcia, pełna niebezpieczeństw toczy się codziennie, toczy się w poszczególnych zakładach pracy. I im bardziej świadoma, im bardziej czujna, im bardziej bojowa jest postawa robotników, tym bardziej nikt nie są wyniki tej walki klasowej”.

„W tym momencie — pisze — „nowych ludzi”? Są to te same najczęściej granice, jakie postawił sobie dla „nowych realiów”, dla zakładów i ośrodków produkcji. „Ludzie których spotkałem — jak pisze Koprowski — ich stosunek do pracy, entuzjazm, nieustanny wysiłek produkcyjny — oto sprawy, które mnie najbardziej zainteresowały”.

Skąd się bierze entuzjazm i nieustanny wysiłek? Autorowi wystarcza jako odpowiedź fakt, że świnia rzeźni Wodzisławskiemu jest teraz „sto razy lepiej” i „robotę swoją lubi”. „Dlatego — wnioskuje — praca daje rezultaty. Dlatego rozwija się współzawodnicтво. Dlatego podnosi się stale ilość i jakość produkcji”.

Widać wyraźnie, że pisarz wyprawia wniosek z niepełnego układu przesłanek. Brak podstawowych! „Sto razy lepiej” jest osiągnięciem i zapowiedzią jeszcze większej pomysłowości. Ale czego osiągnięciem, czego zapowiedzią? Rewolucji i dalszej walki! Czego rezultatem i narzędziem „lubienie roboty” — jak nie rewolucji i walki o realizację nowego ustroju? W tym nurcie autor nie śledzi nowych ludzi. „Ludziom rozwinięta się w głowach i wszystkim idzie ku coraz lepszemu. Porządek z każdym dniem lepszy i dyscyplina na pracy się podnosi”. Tak widzi ten, grzejąc w fałszywym stwierdzeniu *dobroci* i *spontaniczności* rozwoju socjalistycznej produkcji, w ludzeniu siebie i czytelnika *automatyzmem* postępu. W *nieświadomości* wroga klasowego i walki.

Pisarzom wydaje się, że w ten sposób ukażą przemiany. J. Brzoza pisze o górnikach, mieszkających na wsi. „Twarze mężczyzn są pogodone, kobiety tyją, dzieci chodzą w sandałach i noszą w futerałach skrzypce i akordeony. W małym Przewowie udało się obzwoić zmiany na lepsze”. Pisarz widzi naprawdę zmiany dopiero wówczas, kiedy pokazuje ich mechanizm, kiedy pokazuje każdą dzwignię tych zmian na osi napędowej konkretnej walki klasowej.

Brzoza widzi w Przewowie zmiany na lepsze za przyczyną „solidnej roboty” na kopalni i „dużego uświadomienia politycznego górników. Znów zatem wracamy do podstawowego pytania: a skąd solidna roboty, skąd uświadomienie polityczne? Co decyduje o treści i stopniu tej solidności pracy i uświadomienia politycznego?

Pisarze nie ukazują nowych ludzi, jako uczestników określonego etapu walki klasowej. A te pomocne dyrektywy podawał im przed wyjazdem min. Berman. Trzeba — mówił — roznać i trafnie uchwycić „role nowych, żywych ludzi, wyrastających w tej walce... nowego ze starym”. Pisarze zasuwały się do opisu nowych ludzi, ale opis nie jest neutralny. On też interpretuje i wyjaśnia. Tylko, że w sprawozdaniach pisarzy, często wyjaśnienia nowych ludzi jako *typ duchowy*, nie jako walczących członków swojej klasy. Tak Krzywicka wykrzykuje w obliczu robotników żyrardowskich. „Jakaś ideowość, jaka inteligencja, jakie oddanie pracy produkcyjnej i społecznej, jakie za-

lety charakteru!” Dunarowski również wyjaśnia przemiany przy pomocy modeli duchowych — „dziś każdy światłociśny chłop marzy o umieszczeniu syna w fabryce... przeszkadzają (zaś) ludzie ciemni, zafani, do których nie może trafić żadne rozsądne słowo”. Chce pisać powieść o wsi, „która przezycieżyła w sobie kartowacienę życia”.

Jackiewicz ciekawi „jakie motywy wewnętrzne wyzwały w tych ludziach nie spotykana przed wojną dynamikę twórczą”. „Ile słabości, dawnych nawyków oportunistów i bierności musieli sami w sobie pokonać”.

Motywy były i są zewnętrzne. Rewolucja i walka o nowy ustrój! Ta walka i udział w niej pokonywają w obiektywnym osiaganiu zwycięstw politycznych i produkcyjnych nawyki i słabości z dawniejszego okresu walki i miejsca w tej walce. To żadne izolowane, „wewnętrzne” zabiegi w sobie samym!

Kiedy się nie widzi walki klasowej, nie widzi się w konsekwencji Partii, Koprowski, owszem, mówi o przodownikach na P.G.R.-ach, „że wielu z nich to aktywni członkowie PZPR-u”. Jest to uprzejmość pisarska, ale nie świadomość socjalistyczna. Nie można odrwać partii od walki klasowej. Ona jest czołowym oddziałem klasy robotniczej, wytycza jej walce strategię i taktykę. Określa i wskazuje wroga.

Pisarze z naszej wiązanki dają odbicie nowej rzeczywistości: nowej dynamiki produkcji, nowych ludzi... *bez wroga!* Temu próżnia. Nie ma więc walki, nie ma jej kierownictwa, nie ma jej wroga klasowego.

A min. Berman przypominał przed wyjazdem: „W toku walki o nowy ustrój, społeczeństwo musi przejść proces kształtowania się aktywny. Tak się formuje aktywność najczulszych, aktywność partijną. I nie potrafi nikt zrozumieć tego, co się u nas dzieje, jeśli nie zechce zrozumieć roli partii, roli aktywność partijną”.

Wartość planu konkursu na reportaż, jaki zebrałmy we „Wsi” jeszcze przed akcją wyjazdową pisarzy w teren, polegała właśnie na tym, że uczestnicy: pisarze, korespondenci i czytelnicy odsłoniли istnienie, siłę, pomoc i kierownictwo partii w procesie różnicowania się politycznego wsi, które wyzwalała ująłone przeciwieństwa i antagonizmy, przyspieszając proces dojrzewania walki klasowej.

W sprawozdaniach pisarzy zwraca uwagę typowa powiązania z „nowymi realiami i nowymi ludźmi”. W większości pisarze są obserwatorami. Właśnie — „nie trzeba wymyślać”, „tworzywo wiazi samo do ręki”. Pisarz jest „raczej stroną biorącą”. Łapie, gdzie chce i kogo chce „za rękaw”, „grasuje”.

Irena Krzywicka

DOŚWIADCZENIA ŻYRARDOWSKIE

Obrałem dla studiów Żyrardów, bo chodziło mi o fabrykę z przeszłością i z tradycją rewolucyjną, jako że wspomnienia starych robotarzy mogą mi być użyteczne do opracowywania dalszych tomów cyklu „Mar-tenów”. Jednocześnie chciałem zrobić zestawienie między dawnym a nowym i obserwować przy bezustannym zestawianiu z przeszłością zdobyć klasę robotniczą w Polsce Ludowej. Wydaje mi się, że osiągnęłam pożądaną rezultat. Doświadczenia żyrardowskie stały się dla mnie bardzo poważnym i bardzo głębokim przeżyciem, które w pewnością znajduje wyraz w moich następnych książkach. Już obecnie piszę cykl reportaży, które mają dla mnie charakter doradczych notat z rzeczy widzianych i słyszanych, a które drukuję obecnie w „Rzeczypospolitej”, zanim ukażą się w wydaniu książkowym pt. „Czerwony Żyrardów”. Notaty te, to pierwsza próba surowca, dalsze ukażą się w powieściach.

Umożliwienie pisarzom wyjazdu w teren uważam za inicjatywę niezmierznie doniosłą i twórczą. Skorzystałam na tym niezmierznie wiele i choć nie wiem, czy uda mi się tym przeżyciom nadać należyte formy artystyczne, czuję się dużo bogatsza. Poznałam nowe realia, a nade wszystko nowych ludzi. Tu muszę zaznaczyć, że ze strony robotników spotkałam się z najdalej idącym zrozumieniem, z całkowitą serdeczną sympatią, z gotowością całkowitej pomocy. Nie przeżyłam ani jednego „doświadczenia” z jednego z robotników. Pracowałam cały czas w atmosferze już nie tylko życzliwości ale przyjaźni, długich, serdecznych rozmów, gorliwego pokazywania mi

Bardzo odmienne jest pod tym względem sprawozdanie H. Worcella. W tym sprawozdaniu najpełniej odbił się postulat, min. Bermana: „Trzeba pamiętać, że marksizm nie przyswaja się tylko z książek, przyswaja się go również z własnych doświadczeń, z bezpośredniego, osobistego udziału w walce codziennej”.

Worcell napisał coś w rodzaju życiorysu z okresu powojennego, nie mógł wyciągać „kasztanów z ognia” do powieści z pozycji obserwatora. W walce działacza, który płacił zagrożeniem życia, honoru, pozycji społecznej i politycznej zdobywał prawdę o rzeczywistości, kształtował i konkretyzował swoją ideologię pisarza; urabiał swoje pisarstwo jako narzędzie walki klasowej.

W jego sprawozdaniu „nowe realia i nowych ludzi” od pierwszego do ostatniego zdania powołuje i rozwija do życia walka klasowa, rozstrzygająca rolę partii, jej rozwój rewolucyjny, jej starcia z wrogiem klasowym, nieraz wnikałym i do jej wnętrza.

Podobnie w wypowiedzi Olchy widać pełną świadomość, że to, co nowe, wyrasta w ogniu walki klasowej ze starym.

Nie wierzymy zresztą, aby doświadczenia z terenu miały u któregoś z pisarzy pojąć na marne. Bo nawet to, co się wymknęło z ich sprawozdawczych wypowiedzi, czego tam nie powiedzieli, stanie przed nimi z całą ostrością przy konkretnym rozpracowaniu literackim terenowego materiału. Okaże się wówczas, że bez ukazania walki, w której rośnie nowa, dostrzegana przez nich rzeczywistość, nie można być prawdziwym obserwatorem. Okaże się wówczas, że przez umiejętność widzenia i demaskowania wroga klasowego i rosnących w walce z nim nowych ludzi — pisarze oddziałują na sam rozwój procesu produkcji, w którym fundamentalnie rośnie nowa rzeczywistość.

I tak trzeba rozumieć hasło: pisarze do produkcji!

W tym wprowadzeniu do sprawozdań pisarzy nie sło nam ani o krytykę ani o pochwałę poszczególnych pisarzy. Sło nam o zasygnalizowanie konieczności pogłębienia przez pisarzy ich doświadczeń terenowych. Do tego jest potrzebna dyskusja. I nasza i dalsze! Stawiamy pisarzom, w odniesieniu do ich doświadczeń z akcji wyjazdowej trzy pytania: czy ich sprawozdania dają odbicie rzeczywistości, czy ich wyraz ideologiczny jest w pełni socjalistyczny i czy powieści, spełniające wytyczne tych sprawozdań, byłyby narzędziem walki klasowej?

Jan Aleksander Król



Henryk Worcell

ODPOWIEDZIALNOŚĆ OSOBISTA

Moje doświadczenia na terenie wsi? Jakże łatwo mi o nich mówić, gdy chodzi o okres lat ubiegłych i teren powiatu bystrzyckiego, gdzie przebywałem blisko 5 lat — jak trudno teraz, kiedy przeniosłem się w okolice Nysy, w powiecie bystrzyckim wrog klasowy wobec słabego aktywność partijnego zachowywał się wyzywająco nie krył się, nie maskował. Tam otwarcie szczyrzył do mnie zębami. Natomiast w powiecie Nyskim, gdzie aktywność partijną i uświadomionym elementem spółdzielczy stanowił pokątną siłę, wrog klasowy jest zamaskowany — to szczyrzył do mnie zębami w uśmiechu. Tam był bezczelny działat otwarcie, tu jest ostrożny, stosuje nową taktykę walki.

Żeby nie być gołosłownym opowiem w skrócie swoje perypetie z okresu, który z powodu mojego reportażu „Rewolucja w Guranowie” nazwę okresem guranowskim. Nawiasowo muszę zaznaczyć, że reportaż ten łatwo było mi napisać, gdyż materiału miałem aż za dużo i zdobyłem go dosłownie na własnej skórze. Przeżyłem masę konfliktów z tamtejszymi ludźmi. Inaczej być nie mogło. Jako pisarz i jako dojrzewający socjalista musiałem się znaleźć w poważnym zatarciu z tamtejszą reakcją polityczną i tamtejszą szajką złoćców (co na jedno wychodzi, bo jak wielokrotnie stwierdziłem każdy złoćcyzna jest wrogiem socjalizmu. Natomiast, trzeba lojalnie przyznać, nie każdy wrog socjalizmu jest pospolitym złoćcą). Jakie rozmiary przybrał ten konflikt, na jakie niebezpieczeństwa byłam narazony, niech świadczą następujące fakty:

Kiedy ujawniłem milionowe nadużycia tamtejszego sołtysa i jego „spółników”, kiedy tego sołtysa aresztowano, do tamtejszego Urzędu Bezpieczeństwa wpłynęły doniesienia, oskarżające mnie o wrogie stosunek do Polski Ludowej. Znalazło się nawet pięciu takich, którzy własnymi podziałkami potwierdzili jakobym na podziemnym zebrań krzychał „prez z komunizmem”!

W tydzień później odbyło się zebranie podstawowej organizacji PZPR, na którym większością głosów wykluczono mnie z partii. Z szczególnej zaciekleścią atakował mnie przyjaciel aresztowanego sołtysa sekretarz PZPR, zarzucając mi, że szkodzi ludziom, robie zamęt we wsi, piszę do gazet i wywlekam różne brudy.

W jakiś czas po tym do redakcji „Chłopskiej Drogi” wpłynął list paskudnie mnie oceniający. List ten znalazł się w Ministerstwie Kultury i Sztuki i w Zarządzie Związku Literatów Polskich. Jakże rzeczy w tym liście były, jakie paskudztwa, trudno w tym miejscu powtórzyć.

Dla sensacji wspomnę tylko, że zarzucono mi jakobym za swoją powieść (t. zn. niewydany „Odwet”) otrzymał pół miliona zł., że te pół miliona przepiłem i — żeby dalej pić sprzedawałem poniemieckiego wolu. Ze pewną autochtonką, za którą się ująłem i która wspólnie ze mną oskarżała sołtysa — jest moją kochanką. Ze jestem zwolennikiem Andersa i czekam na wojnę itd. itp.

Wreszcie doszło do tego, że nie wolno mi było samotnie pokazać się wieczorem we wsi, urządzano na mnie zasadzki. Kilkakrotnie musiałem się ratować ucieczką do sąsiadów. W domu wybito mi szyby okienne, skradziono pasy od miocarni, deptano i powyrzynano jarzyny w ogrodzie, rzucano kamienie do zboża itd. itd. — wreszcie jakiś zbir pokulił nożem mojego pomocnika tak, że ten

dwa tygodnie nie był zdolny do pracy i to w okresie żniwnym.

Wspomnę też o mojej żonie, która jest Polką pochodzącą spod Żytomierza. Tam ukończyła kurs agromonii, była sekretarką komсомоłu i pracowała w dużym kołchozie. Była i pozostała gorącą zwolenniczką ustroju, komunistycznym i jako taka musiała mieć wrogów wśród guranowskich zafascynowanych. Oskarżono ją przed władzami, że jest białogwardystką (co było nie tyle tragiczne, ile śmieszne, bo w roku 1922, gwardzistów w Rosji już nie było) przezywano „czerwona małpa”, „parszywa kołchozniczka” itp. — jednym słowem szyszanowano na każdym kroku. Nie dziwnego, że w tych warunkach kobieta dostała rozstroju nerwowego i że teraz musi się leczyć na serce.

Byłoby nam znacznie gorzej, gdybyśmy nie mieli tam przyjaciół, ludzi postępowych i walczących: korespondenta rolnego Oleszke, nauczycielkę, mechanika ośrodka maszynowego i całą grupę robotników leśnych.

W lecie ubiegłego roku odbyła się wreszcie rozprawa sądowa przeciwko „rosowi”. Skazano go na dwa lata więzienia i pozbawienie praw obywatelskich. A jednak z partii go nie wykluczono. W dalszym ciągu zabierał głos na zebraniach i terroryzował wieś. Czuli się pewni siebie, miał poparcie gminy i w powiecie. O tych skandalicznych stosunkach panujących w tamtejszych kołach partynych powiadomiłem KC PZPR. Sołtysa, który mimo wyroku ciągle pozostaje na wolności, wykluczono wreszcie z partii. Wkrótce ma się tam odbyć gromadzkie zebranie, na którym poddamy ostrej krytyce szkodliwą działalność tej klikki. Rewolucja w Guranowie trwa.

Od dwóch miesięcy przebywam w okolicach Nysy. Tu są ziemie urzędajne, tu już mamy najcięższe zagrożenie: spółdzielni produkcyjnych w Polsce, tu stosując pracę zespolową, możemy cudów dokonać — powiat Nyski w rgnach planu sześciolatniego stanie się olbrzymim spichlerzem zbożowym. Byłoby najwłaściwie przypuszczać, że wrog klasowy nie buduje tu swoich okopów. Buduje, tylko że okopy te są bardziej zamaskowane, niż w powiecie bystrzyckim. Tu np. wyraźnie pracują t. zw. „nadgorliwcy”, którzy swoją celową i szkodliwą aktywnością wywołują oburzenie i ferment wśród ludności. Takimi nadgorliwcami będą np. członkowie zarządu pewnej spółdzielni produkcyjnej, którzy obsiewają burakami cukrowymi 40 ha, licząc na to, że spółdzielcy nie podołają obróbie tak wielkiego obszaru. Takim nadgorliwcem jest człowiek, który każe burzyć cmentarz niemiecki, by spowodować oburzenie ludności przeciwko rządowi i partii. Innego rodzaju wrogiem klasowym jest przywódca duchowy „Świadków Jehowy”, który wypienając zlecenia „odgórne” odmawia złożenia podpisu pod Apelem Sztokholmskim i motywując tę odmowę względami religijnymi.

Tu i plotka i szeptana propaganda, przybiera perfidniejsze, niż gdzie indziej formy.

W tych warunkach rola pisarza i jego obowiązki są szczególnie trudne. Pisarz nie powinien się ograniczać do obiektywnego notowania zdarzeń. Powinien — bezpośrednio — wpływać na przebieg tych zdarzeń, powinien być nie tylko pisarzem, ale i działaczem społecznym. Tym obowiązkiem musimy podobać.

Henryk Worcell

Irena Krzywicka

Władysław Dunarowski

Material do nowej powieści o wsi

Przebywałem w terenie od 23 marca br. do 10 czerwca. Przedmiotem moich obserwacji była Opolszczyzna, a w szczególności: PGR zespół Kujawy, pow. Prudnik; Dąbrowa Namysłowska, pow. Namysłów; zakłady przemysłu leśnego w Pokoju k/Opola. Ponadto z ramienia „Czytelnika” wziąłem udział w akcji „Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy” i od 1.V. do 15.V. objechałem 4 powiaty woj. pomorskiego: Lipno, Rypin, Brodnica, Nowe Miasto, dając w 13 miejscowościach 15 wykładów autorskich przy frekwencji od 100 do 450 osób.

PGR, zespół Kujawy, pow. Prudnik. Okolica zamieszkała wyłącznie przez autochtonów. Jaskrawa różnica między starszym pokoleniem a młodzieżą, która szybciej ulega repolonizacji. Zwłaszcza po objęciu stanowisk w urzędach, czy innych zakładach pracy. Stąd środowiska wiejskie wolniej ulegają przeobrażeniom ideologicznym, trudniej pozbywają się zakorzenionego wśród autochtonów oporu. Rola PGR-u ważna: budzić szacunek dla kultury rolnej a w następstwie — dla polskości, wciągając młodzież do pracy, a

zdolniejsze jednostki — po odpowiednim przeszkoleniu — wysuwać na odpowiednie stanowiska. Dotychczasowe rezultaty świadczą korzystnie o administracji PGR-u zespół Kujawy, okręg Opolski, o pojmowaniu przezeń swej wielostronnej misji. Podczas pobytu w Kujawach specjalnie interesowałem się wynikami pracy w PGR-rze, przeobrażeniami ideologicznymi wśród pracowników fizycznych oraz umysłowych, a zwłaszcza tych, którzy drogą awansu społecznego osiągnęli kierownicze stanowiska. Dyrekcja doświadczała starań, by mi ułatwić poznanie pracy w poszczególnych majątkach, należących do zespółu Kujawy. Dąbrowa Namysłowska, pow. Namysłów. Wśi osadnicza z małym procentem autochtonów. Osadnicy z Podhala i zza Bugu. Tu zwracałem uwagę szczególnie na przemiany w kulturze, spowodowane wyższą stopą życiową, na narastanie nowego światopoglądu. Większość osadników przybyła gmina „głodem ziemi” pojmowanym bardzo ciasno. Świat fabryki, życia robotniczego, był im zupełnie obcy. Dziś każdy świetlejszy chłop marzy o umieszczeniu sy-

ma w fabryce, a ci małorolni, którzy stali się robotnikami, są we wsi na pierwszym planie tak pod względem stopy życiowej jak ogólnego zainteresowania. W promieniu 7 km. znajdują się 3 zakłady przemysłowe (tartak, cegielnia i wytwórnia sztucznej włosa), które przyczyniały się do korzystnych przemian w życiu psychicznym, gospodarczym i kulturalnym okolicznych wsi. Jeżeli chłop nie może wyżyć z małego kawałka roli, nie trzyma się jej w ślepych przywiązaniu, ale traktując ją jako warsztat pracy — zamienia na inny korzystniejszy: idzie do fabryki, na kolej, do spółdzielni i przystępuje do rozmów o spółdzielni produkcyjnej. Przeszkadzają im ciemni, zacofani, do których nie może trafić żadne rozsądne słowo. Tacy biedują i narzekają na brak pieniędzy, ale nie odnoszą młeka do mleczarni, nie kontraktują nasion, dzieci trzymają w domu, nie reagują na kpinę świetlejszych sąsiadów, nie biorą przykładu z ich sposobu gospodarowania. Tacy stają się powoli narzędziem polityki kilku bogaczy i zarazem obiektem ich wyższości. Lecz budzi się walka klasowa. Początkowa niechęć osadników do autochtonów zamienia się w nienawiść do chciwych szabrowników, samolubnych odludków, którzy zrywają i kasują wspólną drogę wśród pól, mimo że mają dużo własnego pola, leżącego oddziennie. Na wyrobienie młodzieży ma duży wpływ świetlica. Ponad 70 proc. ludności wsi należy do PZPR oraz ZMP. Zatem na przeobrażenie zupełnie dawnej wsi góralskiej wpływają nowe narzędzia pracy, korzystniejsze warunki pracy na roli, możliwość zbytu produktów, bliskość miasta oraz kolei, sąsiedztwo zakładów przemysłowych, świetlica, partia.

Właściwym celem mego wyjazdu w teren było zebranie materiału do nowej powieści o wsi, która przeżywała w sobie karłowacie życie i znalazła się w kręgu postępowych przemian psychicznych, gospodarczych, społeczno-kulturalnych. W toku tej pracy wypadnie mi kilka-krotnie jeszcze znaleźć się na terenie PGR-u Kujawy, czy w Dąbrowie Namysłowskiej oraz tartaku w sąsiednim Pokoju, aby poznać warunki życia tych samych ludzi w innym okresie roku.

Jan Koprowski

Najważniejszą jest człowiek

W ciągu marca, kwietnia i maja br. przebywałem w Państwowych Gospodarstwach Rolnych na terenie województwa wrocławskiego, głównie zaś w gospodarstwach rolniczych hodowlanych w Mysłakowicach, na fermie nutryj w Janowicach Wielkich na fermie kur w Zachełminiu i na stacji zarybieniowo-doświadczalnej w Podgórzynie. Był to najciekawszy okres mojej pracy literackiej po wojnie. Zgromadziłem wiele cennego materiału, który najprawdopodobniej wykorzystam w powieści lub w utworze scenicznym.

Ludzie, których spotkałem, ich stosunek do pracy, entuzjazm, nieustanny wysiłek produkcyjny — oto sprawy, które mnie najbardziej zainteresowały. A ludzi spotykało się wielu i to wspaniałych. Ludzi, którzy z nędzy życia folwarcznego w Polsce sanacyjno-obszarnej, przeszli do pracy w nowych, odmiennych do gruntu, warunkach powojennych. Praca, będąca przed wojną przekleństwem, stała się dziś dla nich błogosławieństwem, żywieniem, najpiękniejszą potrzebą życia.

Może najlepiej ujął to Wodzislawski, hodowca świń w majątku Mysłakowice:

— Przed wojną to człowiek szukał roboty, a jak znalazł, to przeklinał, bo nie było z niej chleba. A dziś to robotnik sam szuka człowieka. I cieszy człowieka i raduje, bo jest z niej pożytek i korzyść. Mnie, widząc, jak we wspomne dawne czasy, to aż razić przechodzą ze zgrozą. Sto razy mi lepiej teraz, niż dawniej. A robotę swoją lubię. Dzień i noc bym chodził koło świniom. Cieszy mnie, gdy jedzą i rosną i nie im nie dolega. A jak się zdarzy, że która zabłądziła lub zachoruje, to taki jestem nieswoi, że — mówię wam — o mało nie zgine z żalu i zgrozoty. Zupełnie, jakby to mnie samego albo moją dziecko dotknęło.

Oto, w czym tkwi istota naszych czasów, istota przemian polityczno-społecznych. Wytwarza się nowy stosunek do pracy, do zawodu. Ludzie, spotkani przeze mnie w PGR-ach, pracę swoją kochają.

Nie wszyscy jeszcze u nas to rozumieją, nie dla każdego to jest jasne, ale coraz mniej łazików i głowicy. Ludzom roznidnia się w głowach i wszystkim idzie ku coraz lepszemu. Porządek z każdym dniem większy i dyscyplina pracy się podnosi. Nikt nie zostawił wozu na podwórzu byle jak i gdzie popadnie. Każda rzecz ma swoje przeznaczenie. I nikt nie patrzy na innych i nie ogląda się na godzinę. Gdy trzeba, ludzie robią do późnej nocy, żeby tylko wykonać to, co pilne i co czekać może.

Dłatego praca daje rezultaty. Dlatego rozwija się współzawodnictwo. Dlatego podnosi się stale ilość i jakość produkcji.

Pobyt w terenie umożliwił mi poznanie się z nowymi ludźmi, z ich myślami i potrzebami, z ludźmi, którzy wychowali i wychowują ustrój sprawiedliwej społecznej.

Stąd i książka, którą napiszę, będzie

Jan Brzoza

Kopalnia „Anna” w Przowie

Celem mojej obserwacji na terenie kopalni było zaznajomienie się przede wszystkim z nowymi metodami i nowymi warunkami pracy, które to dwa czynniki decydują o nowym człowieku. Kopalnia „Anna” położona jest w północnej krawędzi osady górniczej Przów w powiecie Rybnickim. Przów jest wsią o typowych śląskich zabudowaniach parterowych z podwórkami od tyłu, wąskich krętych uliczek. Jest tu kilka większych gmachów, jak np. dwupiętrowe bloki mieszkalne dla górników, dwie szkoły, kościół, kino i świetlica. Jest także zabudowa w postaci stuletniej chatki krytej słomą. Do Przowa dostęp kolejowy jest utrudniony z powodu braku stacji osobowej, a ter kolejowy jest właściwie boczną dla transportu węgla. Dojeżdżają tu często autobusy z Rybnika i Rydułtów. Przów jest ciekawą miejscowością ze względu na wiejski raczej charakter i prawie każdy górnik posiada jakiś skrawek pola, czy ogrodu, małe gospodarstwo hodowlane. Toteż górnicy z wyglądu i sposobu bycia przypominają raczej wieśniaków. Cechą charakterystyczną jest schludność w ubraniu zwłaszcza

kobiet i dzieci. Mają być upalni i nie widziałem dzieci bosych.

Ponieważ klasę robotniczą znam i nie oderwałem się od niej, choćby z tego względu, że jestem byłym robotnikiem, pracującym niegdyś także i w kopalniach wosku i węgla a także z powodów rodzinnych, nie potrzebowałem specjalnie „wzywać się” w dobre mi znany świat. Ograniczyłem się do częstych wyjazdów z dyrektora, radą zakładową i Podst. Org. Part., następnych obiektów obserwacji. Nie musiałem także zdobywać zaufania, gdyż znam zwyczajnie swojej klasy. Zarówno wymienione władze, jak i poszczególni górnicy przyjęli mnie z wielką i dodano mi do towarzysza kolegę po fachu miejscowego korespondenta „Trybuny Robotniczej” Bolesława Hlibnera, który ułatwiał mi wszędzie dostęp, nie tylko na teren kopalni, ale do mieszkań prywatnych górników. Nocowałem w Domu Noclegowym kopalni, w którym mieszkali dojeżdżający z dalszych okolic górnicy, przeznaczeni młodzież. Śniadania, obiady i kolacje jadłem w miejscowej „Gospodzie Spółdzielczej”, gdzie zresztą

była doskonała kawa, jakiej nie ma w Katowicach, czy Warszawie. Jeden z najważniejszych problemów, jaki zastałem, to chwilowy spadek produkcji i bitwa o jego podniesienie. Zdarza się to zresztą tylko na wiosnę i w jesieni, gdy roboty polne są bardzo pilne. Potem produkcja zostaje podwyższona z nawiązką wyrównując chwilowe niedociągnięcia. Innym lokalnym kłopotem jest brak odpowiednich mieszkań dla górników, gdyż część rodzin górniczych mieszka w prowizorycznych barakach. Górnicy dużo zarabiają i mogą sobie pozwolić na wybudowanie własnych domków (co zresztą jest marzeniem każdego górnika), niestety, jak dotychczas nie mogą otrzymać przydziału na cegły, dachówek, drewna budowlanego, gdyż ktoś tam u góry robi nieustanne biurokratyczne trudności. Takie zajęcia się poza pracą w kopalni budową własnego domku dąboby górnikom tyle pasjonującego zaabsorbowania, że odciągnęłoby niektórych od zaglądania do kieszonki. Niemniej koła partyjne zapewniły mi, że sprawa przydziału materiałów budowlanych jest na najlepszej drodze i wkrótce będzie pomyślnie załatwiona.

Nie zamierzam pisać reportażu, gdyż ta dziedzina twórczości nie odpowiada mojemu sposobowi pisania. Pragnąłbym napisać sztukę sceniczną. Napisałem przedtem duże opowiadanie pt. „Ręce i kamienie”, którego bohaterką jest robotnica w sortowni węgla. Celem moich odwiedzin kopalni „Anna” było m. in. sprawdzenie na miejscu warunków pracy w sortowni i ewentualna korekta mojego opowiadania. Okazało się, że korekta nie była potrzebna i wszystko w opowiadaniu zgadza się co do jedy z rzeczywistością. Zamierzam z tego opowiadania opracować scenariusz filmowy. Niezależnie od tych zamierzeń, przystępuję do napisania jednoaktówki dla świetlic, na zamówienie Zw. Zaw. Górników.

Jeżeli chodzi o zagadnienia kulturalne Przowa, to jest tam świetlica a właściwie Dom Kultury, który stoi na wysokim poziomie. Jest tu sala orkiestrowa z małą scenką, gustownie urządzone i ozdobione pięknymi malowidłami ścianami. Jest biblioteka, są pokoje gry na instrumentach, pokoje lekcyjne. Zespół instrumentalny dzieci górniczych w wieku 10—15 lat, składający się z trzydziestu osób urządza koncerty, których warto słuchać. Sekcja teatralna wstawiała się na całą Polskę w czasie konkursu, biorąc udział w Warszawie na „Lille Wenede”, która przegrała z zespołami z Wrocławia, Łodzi i Łódzkiej. W Przowie zaś „Lille Wenede” bez najmniejszego skreślenia, wykonał własnymi siłami dekoracje scen, kostiumy budzące podziw stołecznego jury i publiczności. Harfy wykonane przez stolarnię kopalni były przedmiotem zachwytu zawodowych artystów. W imprezie tej brał udział dosłownie cały Przów i nie było domu, w którym by ktoś z rodziny nie uczestniczył w ten, czy inny sposób w przedstawieniu. Uczyli się ludzie na pamięć pięknego wiersza Słowackiego, malowali dekoracje, pracowali nad urządzeniem sceny, szli kostiumy, studiowali charakterystykę a wśród nich wybiła się 29-letnia dziewczyna z lampiarni Barbara Weiner w roli Róży Wenedy, wykazując olbrzymi talent.

Uświadomienie polityczne górników Przowa jest duże. Słuchałem rozmów górników na tematy aktualnej polityki w kraju i wydarzeń światowych. Były to rozmowy rzeczowe, trafnie naświetlające wydarzenia na świecie. Szczególnie pasjonowali się górnicy walką dokerów z zrzuconiem transportu broni do morza wywołano dużą satysfakcję. Górnicy chwalił sobie obecny ustrój w Polsce i wspominają dawne czasy. Bumelantowo prawie, że nie istnieje, roboty wykonane są solidnie. Twarze mężczyzn są pogodzone, kobiety tyją, dzieci chodzą w sandałach i noszą w futerałach skrzypce i akordeony. W małym Przowie widać olbrzymie zmiany na lepsze.

Aleksander Jackieuicz

List z fabryki penicyliny

Od trzech miesięcy zbieram materiał do książki w fabryce penicyliny i innych specyfików — w Tarchominie pod Warszawą. Wybrałem ten obiekt, ponieważ dużo słyszałem i czytałem w prasie codziennej o doskonałych rezultatach pracy załogi tej fabryki, która w ciągu pięciu lat nie tylko odbudowała z gruzów dawne zakłady Spiesza, znacznie je rozbudowując, ale potrafiła też w ciągu ubiegłego roku uruchomić nową wytwórnię, sławną dziś w całym kraju wytwórnię penicyliny. Zafascynował mnie wysiłek załogi, zainteresował mnie problem wzajemnej współpracy robotników, inżynierów i uczonych, chciałem zbadać jakie realne czynniki zdecydowały o sukcesie załogi, która przed pięciu laty w liczbie 6 (słownie sześciu) ludzi przystąpiła do odbudowy niemal kompletnie zniszczonego obiektu, jakie motory wewnętrzne wywoływały w tych ludziach nie spotykaną przed wojną dynamikę twórczą.

W ciągu ubiegłych miesięcy zapoznałem się z historią odbudowy i budowy tarchomińskiej wytwórni, historii bardzo prostej, a jakże porażającej. Zarówno dyrekcja jak i załoga często wyrażały zdziwienie widząc mój podziw dla ich dzieła, dla ich historii ubiegłych pięciu lat jest sprawą minioną, robotnicy, inżynier-

rowie, magisterzy żyją dziś nowymi problemami, którym na imię: realizacja planu sześciolatniego. I chociaż są zadowoleni, że pragnę opisać dzieje ich pracy od r. 1945 po dzień dzisiejszy, to nierzadko mi mówią: „Niechno pan przyjeżdża tu za nowe pięć lat, będzie pan miał jeszcze ciekawsze sprawy do opisania”. Ale niech czytelnik nie myśli, że zarówno załoga, jak i autor przyszłej książki w fabryce penicyliny widzą tylko sukcesy, osiągnięcia i zwycięstwa. Droga ludzi z Tarchomina była trudna, nie tylko wojenne wyniszczenie kraju je stwarzało, trudności roziły się w tych właśnie ludziach, o których chce pisać. Ile dramatycznych konfliktów musiało się rozegrać w realnych bohaterach mojej przyszłej książki w ciągu ubiegłych lat, ile słabości, dawnych nawyków, oportunistów i bierności musieli sami w sobie pokonać. Trudno jest w krótkim liście wdać się w szczegóły, trudno jest przekazać mnóstwo faktów i zagadnień, bardzo prawdziwych, bardzo głębokich, jakie wywołało w Tarchominie. Będę się starał przekazać możliwie najwierniej przyszłemu czytelnikowi powieści, do pisania której niebawem przystąpię. Pragnę przekazać moją podziw, sympatię, przyjaźń, jaką dziś mam dla twórców polskiej penicyliny, twórców nowego stylu pracy i życia.

gmunt Fijas

Żyje grochem i kapustą

nie pięć lat temu pewien poeta, już teraz pisze co innego, niż wtedy, rzekł do mnie z przejęciem, „Ja tam o jedzeniu nie pi-jak inni”. Był to uszczypliwy ch do mych ówczesnych ch artykułków, w których, że ten poeta też ma zo-

wtędy o grysku, którego brakło, i wolowinie, która można było otrzymać tylko pod Wielizką, i tylko w handlu wezłokowym.

Trudno przez całe życie pisać o niebieskich migdałach, trzeba też pisać o wolowinie, gdy jej nie ma.

Kiedy zdecydowałem się na wyjazd do Tymbaruka, a potem do Nowego Sącza, niektórzy koleży nie umieli utać swego śmiechu: że to niby wino, że to moszcze, że groch, że kapusta, że ogórasy, że bób.

Ja tam nie uśmiechałem się, gdy niektórzy koleży zdecydowali się wyjechać z potawiczkami śledzi. Byłbym się może uśmiechał, gdyby zechcieli wyjechać na półow piera.

Czterema piętami swych ciał, tkwimy w spocie, która niebia i uchodzi jak powietrze z detek testyżni, nieustannie, nieustannie.

W czasie mego pobytu w terenie zdumione miało powiedzenie swego działacza - ogrodnika: „Powiesz mi pan, panie, dlaczego pości pisali o „złocie”, o „srebrze”, o „róży”, o „kiszczycy”, o „klarnecie”, o „flecie”, a nikt nie napisał wiersza na cześć kapusty Langedijkera, Amager, czy Sławy z Enkhuizen?”.

Ważne pytanie. Dlaczego nie napisali? Bo to — jedzenie, bo „proza”. A tymczasem kapusta i ziemniaki, to połowa spożywanych przez Polaków warzyw.

W roku 1945 uprawiano w Polsce 134.000 ha warzyw wartości 40 miliardów złotych; mieliśmy 21 milionów drzew owocowych, dostarczających łącznie z jagodami leśnymi przeciętnie 381 ton, wartości 11 miliardów złotych. Wartość produktów ogrodnictwa na skutek przeróbki, przechowania, sortowania podnosi się. Średnia roczna wartość produkcji warzyw, owoców w stanie surowym i towarów pokrewnych wynosiła prawie 75 miliardów złotych. Suma to olbrzymia.

Olbrzymia i nie olbrzymia. Okazuje

się, że gdy w Związku Radzieckim, jak mówi statystyka, na jednego obywatela przypada 4 drzewka owocowe, w Czechosłowacji i w Danii — 3 w Szwecji — 2 (!), w Polsce na jednego przewód pokarmowy obywatela przypada — jedno drzewko (niecałe!). Okazuje się również, że gdy w Związku Radzieckim jeden ha sadu daje 100 do 150 kwintali, u nas produkcja sadu jest kilkakrotnie niższa.

Kto jadł owoce w Polsce sprzed roku 1939?

Według słów naczelnego dyrektora Centrali Ogrodnictwa z którego artykułu te cyfry pochodzą, Polska przed rokiem 1939 zgłaszała niewystarczającą ilość owoców; tylko pięć milionów obywateli lepiej sytuowanych jadło owoce; reszta jadła ziemniaki, kapustę, marchewkę, pietruszkę, cebulę. Produkcja warzyw i owoców była za niska.

Obecnie stan ten ulega zmianie. Centrala Ogrodnictwa za pośrednictwem powiatowych delegatur organizuje skup owoców, które niestety na skutek złego rozmieszczenia przetwórci i przechowywaczy w niektórych okolicach za darmo dla wsi, niekiedy nawet po cenach, które w innych miejscach powstają, tym po 200 ton, w województwie po 300 ton, nie bogie kilku przechovalni eksportowych o pojemności 10.000 ton, usprawnia transport, tabor, organizuje zwałowanie pasyżów, tworzy przy ośrodkach maszynowych бригады opyskiwaczy, kontraktuje warzywa i owoce, dąży do podniesienia produkcji warzyw o 30%, przetworów owocowych i warzywnych o 70%, win z 2 milionów litrów do 17 milionów.

Dewiza działalności pow. delegatur C.O. jest, by cena 1 kg. jabłek i w okęgach przemysłowych i w okęgach, gdzie powstają korki nadprodukcji, była przez cały rok równa bodaj cenie 1 kg. chleba.

I w tym właśnie powinni działać ogrodnicy-dopomocy artyści. Malarze, kompozytorzy, rzeźbiarze, śpiewacy, wirtuosi, poeci, produkcja ogrodnictwa-warzywna czeka na wasze natchnienie! Nie istnieje proza. Istnieje ważność zagadnień. Chwytajcie w jedną rękę pióro, w drugą kielnię, grać. Dopomóżcie w rozbudowie sadownictwa i warzywnictwa.

Antoni Olcha

Przez beskidzkie okno

Udział w akcji wyjazdowej pisarzy umożliwiła mi bardziej systematyczne i szersze niż dotychczas studia nad przeobrażeniami życia w środowiskach wiejskich — małomiasteczkowych w Beskidzie i na Podgórzu. Wszeghogarniająca fala przemian toczy się przecież przez tereny, które znam nie od dzisiaj z pracy społecznej, spółdzielczej, kulturalnej. Spotykam ludzi, których w ciągu minionych kilkunastu lat widywałem w najrozmaitszych sytuacjach. Wszystko, co dotychczas napisałem — to tylko kolejne etapy coraz bliższego, ale wciąż niepełnego poznawania żywych, codziennych spraw wsi; kolejne próby pisarskiego włączenia się w złożony proces przemian; kolejne doświadczenia, które potwierdzają starą prawdę, że nigdy nie zna się danych spraw dość wszechstronnie, dość głęboko. Pojechałem w Jordanowszczyznę ponieważ z racji tych doświadczeń i prób pisania o współczesnych sprawach wsi tam właśnie najłatwiej spostrzegam wielorakość i bogactwo współczesnej tematyki. Patrząc przez rodzinne beskidzkie okno jaśniejszy widzę, jaśniejszy rozumiem życie innych odległych nawet terenów.

Jordanowszczyzna, to pierwszy etap moich badań literackich. Stąd wiodą ścieżki, którymi tutejsi małorolni wędrują do śląskich kopalni i do Nowej Huty pod Krakowem; stąd wiodą ścieżki młodej wsi pracującej do szkół średnich i wyższych. Poznać życie współczesnej wsi, to nie znaczy siedzieć na jednym miejscu i zapisywać co się stało w świetlicy i spółdzielni, chociaż i to konieczne. W związku z moimi planami na przyszłość, w związku z powieścią którą piszę, zacieka-wiamy mnie wszystkie ważniejsze powiązania wsi z całym krajem, a są to dziś już tysiączne więzi.

Maria Żmigrodzka

MŁODA ORZESZKOWA¹⁾

„NIECO „CYTATOLOGII“

Pan Jan Brochwicz przywitał reformy własnościowe nie tylko ze stoicyzmem, ale „też części ich, która tyczyła się istotnie sprawiedliwych i humanitarnych pojęć, przykładał z całego serca”. Był on bowiem człowiekiem nie tylko humanitarnym, ale i odczytanym w dziełach moralistów i socjologów, którzy pracę niewolną krytykowali nie tylko jako przeciwną naturze i godności człowieka, ale i jako niedołączną i nieproduktywną.

„Ale była to dopiero teoria. Po pierwszym akcie dramatu nastąpił drugi — teoria wstąpiła w dziedzinę praktyki”. Toteż zadumał się gorzko dziedzic Brochowa, gdy w drugiej akcie dramatu obejrzał ze wzgórz łąny do niedawna jeszcze dworskie:

„Patrzył i pogrążony w zdumieniu myślał, że na gruntach jego sutań turecki mógłby wygodnie grać w szachy z całym swoim Dywanem... Wodził wzrokiem dokoła po szlaczkach i arabeskach i myślał:

— to moje, a to nie moje, tamto heć precz znowu moje a owo, tuż przy tamtym położone, znowu nie moje. Kiedy popędzę bydlę na paszę, droga mu pójdzie przez zagony Jakuba, a kiedy Wasył wypędzi swoje, pędzić go będzie właśnie gruntem, na którym zeszłej jesieni posiałem pszenicę... Pszenica, żyto, kto je zasieje?... oni zasiewać będą swoje szlaczki i arabeski a potem bawić się i spać... a moje? ha moje!... parobczane gospodarstwo... zapewne... ale trzeba woli kupić i sprząć, wozy, pługi sporządzić, parobków wyszukać... Najemnik będzie drogi... jeżeli jeszcze będzie, nakłady ogromne, a kapitałów nie ma... Od czego tu zacząć? Co najprzód czynić? Oj, bieda!

Zstał się ze wzgórz i wolnym krokiem, zamysłony wielce, kroczył ku pięknemu swemu dworowi, tam kazał przywołać przed siebie rządzącego Brochowa i rozmowę z nim rozpoczął tymi słowy:

— I jakże to będzie z nami, panie Sumski?

— Zie będzie, jasnie wielmożny panie! — odpowiedział rzadca — po czym umilkł obaj, zamysłili się, myśleli długo, ale nie wymyślili nic.

Tarapaty pana Brochwicza to jedno oblicze doświadczeń szlachty polskiej w „w siódmym lat dziesiątku” XIX w. W powieściach Elizy Orzeszkowej odbiło się także i oblicze drugie:

„Marta urodziła się w dworcu szlacheckim, niezbyt wspaniałym i bogatym, ale ozdobnym i wygodnym... Ojciec Marty w części nieopatrznością własną, a głównie wskutek zaszczytów w kraju zmian ekonomicznych, ujrzał się zagrożonym utratą swej posiadłości. Los Marty zdawał się już wtedy zabezpieczony... Jan Świcki, zajmujący dość wysoką posadę w jednym z biur rządowych w Warszawie, pokochał piękną, czarnooką pannę i wzburzył w niej wzajemne uczucia szacunku i miłości. Jan Świcki nie był dość opatrny, by myśleć o przyszłości z najmniejszym choćby uszczerbkiem dla pory obecnej... Młody, silny, pracowity, liczący na młodość swą, siłę, pracowitość, myśląc, że skarby te nie wyczerpią się nigdy. Wyczerpały się jednak zbyt prędko... Wraz ze śmiercią jego, skończyło się nie tylko szczęście domowe Marty, ale usunęła się spod stop jej podstawa materialnego bytu”.

Na czwartym piętrem stołecznej kamienicy gnieździ się rodzina państwa Wandalinowstwa. Żona daje lekcje muzyki, chorowita córka pracuje w fabryce tytoniu.

„Pan Wandalin był nawet kiedyś wcale majątym obywatelom, posiadał bowiem we władaniu swym za sw. p. pańszczyzny 100 chat, czyli mniej więcej około 600 dusz męskich, żeńskich nie licząc. Na osiem mniej więcej lat przed opisywaną epoką... państwo Wandalinowstwo przez długi rodziców straciło majątek. Ta sama wielka burza, po której przebieśli Tutunowicze, Kobylkowscy, Knyski itd. zdobyli sobie tak rozmaite, a pięknie brzmiące przydomki, ułożyła na falach swych dom państwa Wandalinowstwa, a ułożyła go dla nich bezpowrotnie...”

Po ulicach gubernialnego miasta błądzi Stefan Sieciński, jeden z siedmiorga młodych dziedziców mikroskopijnej Wólki, skromnej reszki wielkopolskiej fortuny, zrujnowanej „burzą” i „długami rodziców” (to na beneficjencję). Stefan szuka w nieznanym sobie świecie szans ratunku dla rodziny, możliwości utrzymania, jakiej Wólka dać wszystkim nie mogła. „Syn szlachecki, a wasz brat — pisze do siostr — jest teraz nurem zapuszczającym się w tonie społeczności ojczyźnej, trzeba mu przeciw trochę czasu, wiele odwagi i rozważań, aby mógł wydobyć się na powierzchnię z wiedzą o tym, co dzieje się w otchłaniach...”

O MIEJSCE

W NOWYM ŚWIECIE

Janusowe bóstwo szlacheckich przeznaczeń jeden wyrok głosiło zarówno Brochwiczowi jak Marcie, Siecińskim i rodzinie pana Wandalina: „Przystosuj się, walcz o miejsce w świecie kapitalizmu, staraj się wszelkimi siłami wydobyć na powierzchnię — gdyż straszne są okłanianie nowego świata”.

Nowy świat żądał stanowczej reedukacji synów szlacheckich. Był to warunek przetrwania okresu zamętu, warunek dorobienia do perspektyw, jakie przed kapitalistycznym obszarnikiem otwierał ustroj.

Eliza Orzeszkowa przeszła wszystkie stopnie wtajemniczenia swej klasy. Lata powojenne w Miłkowszczyźnie — zrujnowany majątek rodzinny, okres starań o posadę telegrafistki i rozważań szans utrzymania z pracy pisarskiej, stawały ją jako w

około z istotnymi problemami współczesności.

Zakres doświadczeń historycznych klasy i osobistych doświadczeń ideologicznych i charakter poznanych procesów społecznych i charakter problemów najistotniejszych dla przyszłości klasy — składają się na ten stop wiedzy o świecie, który sprawia, że naiwne i nieudolne artystycznie pierwsze powieści Orzeszkowej liczyć się muszą w historii literatury nie tylko jako pozycje bibliograficzne, ale i jako ważne zabytki literatury, które w wielkiej pisarce, ale mają samodzielną wartość jako ciekawe i istotne przejawy ewolucji ideologii artystycznej pozytywizmu.

Powieści Orzeszkowej pod względem artystycznym nie wykarczają niczym poza przeciętność średniej produkcji powieściowej, moralizatorskich romansów salonowych. Wczesna twórczość nie zdobyła pisarce wielkiej popularności. Powoli dobijać się musiały uznania społecznego.

Atakowana ostro za wystąpienia publicystyczne przez „starych”, od „młodych” przelicytowała musiała wiele gorzkich uwag pod adresem swej twórczości powieściowej, publikowanej zresztą bez wyjątku w „starej” prasie. Chmielewski, mierzając nadworną dostawczyń powieści dla pism konserwatywnych, ze złością w satysfakcją zestawiał publicystyczny prozom artystyczny Orzeszkowej z jej praktyką powieściową.

Dlaczego jednak buntownicza rozwódka, antyklerykalna libertynka, gardząca konwenansami salonowej emancypantki i demokratka, nie tylko debutowała w „starej” prasie, co można by ostatecznie wytłumaczyć układem okoliczności życiowych, ale pozostała jej wierna przez wiele lat? Układ okoliczności życiowych, sympatie, antypatie czy fomy autorsko-redaktorskie — niewiele wyjaśniają. Opinie pewnych kół konserwy o Orzeszkowej żartobliwie formułuje sama pisarka, stwierdzając, że Illicka, klerikalna redaktorka „Bluszczy”, uważała ją za „żuźel”, który chce podpaść wszystkie nasze świątynie”.

Czemu zatem żuźel ten nie zaskoczył kartom „Tygodnika Ilustrowanego”, „Kłosów”, czy „Tygodnika Młód i Powieści”? Tolerowanie Orzeszkowej przez „starą” prasę, jak i jej „nieopatrzność” w polityce sojuszy redakcyjnych, mogłyby wyglądać na pierwszy rzut oka zagadkowe.

Odpowiedzi na to pytanie udeili nam w dużej mierze bliższe sprzeczenie pozycji klasowej pisarki i ustalenie adresu jej wczesnej twórczości. W jakiej funkcji występowała początkująca autorka w stosunku do „własnej” klasy? Nie będzie to metafora złośliwa ani deprecjonująca: jeśli powiemy, że z szerokiego wachlarza możliwości stosunku między ideologiem a klasą Eliza Orzeszkowa przyjęła w najwcześniejszym stadium twórczości obowiązki guwernantki. Guwernantka nie jest w historii literatury zjawiskiem cenionym. Eliza Orzeszkowa podjęła się jednak swych obowiązków w szczególnym momencie. Edukacja ziemianstwa, nauka manier przyjętych w wielkim świecie kapitalizmu była zjawiskiem postępowym, w edukacji zaś też wraz z Orzeszkową współpracowała historia.

Orzeszkowa pisze dla klasy o klasie, jest chorąży burżuazji — obszarniczego sojuszu, współdziała w tworzeniu nowej moralności i nowej kultury. Problematyka i adres wyznaczają też teren działalności.

Młoda Orzeszkowa musiała zatem gościć na łamach pism konserwatywnych, zwłaszcza, że najwcześniejsze jej utwory reprezentują typ moralistyczny o tyle jeszcze abstrakcyjnej i o tyle jeszcze deklaratywnej, że łatwo ją było neutralizować jałową tradycją moralistyką romansową, w zasadzie wstecznej i wroga nowemu światu, jaka kwitła na łamach tych tygodników. Wystąpienia Orzeszkowej, choć początkowo całkowicie zeksplorowane na płaszczyźnie moralistycznej i krytyki obyczajowej były dynamitem przechowywanym na łamach „starej” prasy. Działalność Orzeszkowej na tym etapie znalazła się w nurcie postępu, który likwidował tak silne w dziedzinie kultury pozostałości systemu feudalnego walczył o człowieka kapitalizmu.

W PIERWSZYM DZIESIĘCIOLECIU...

Wczesny etap twórczości Orzeszkowej obejmuje pierwsze dziesięciolecie jej twórczości literackiej, lata 1866—1876. Powstało w tym czasie kilkanaście powieści, które łączy nie tylko chronologiczne sąsiedztwo i wspólna cecha mniejszej czy większej nieudolności artystycznej, sprawiającej, że ten etap twórczości Orzeszkowej należy wyraźnie odgraniczyć od okresu jej dojrzałości artystycznej, zapoczątkowanej „Meirem Ezołowiczem”. Idzie o to, że właśnie w ramach wczesnego okresu zrealizowała się pedagogiczna funkcja Orzeszkowej jako „guwernantki” klasy. Powieści te łączy wspólność problematyki i wspólny kierunek zasadniczej ewolucji ideowej i artystycznej. Dość znaczne różnice między początkowymi a końcowymi utworami owego dziesięciolecia są skutkiem powolnego i poszerzenia zakresu obserwacji autorskiej, wykrystalizowania ideologicznego, wyrobienia techniki pisarskiej. Dlatego należy brać pod uwagę rozwój w ramach dziesięciolecia i wprowadzając wewnętrzne cezurę, podkreślić jednak zasadniczą jednorodność okresu.

Twórczość Orzeszkowej w pierwszym okresie zawiera się w całości w ramach problematyki moralistycznej, a tematem jej są też bez wyjątku zagadnienia wychowania. Jest to podskórny,

mniej lub bardziej rozstrzygający, niemniej zawsze obecny, nurt jej książki. Są one beletrystycznymi traktatami o wadach wychowania i o potrzebach klasowej edukacji.

Ewolucja w ramach tego podstawowego schematu ideologicznego polegała na stopniowym nasycań planu moralistycznego coraz wyraźniejszą i konkretniejszą treścią społeczną. Polegała na przełamaniu konwencji romansowych, schematów sytuacyjnych, na wzbogacaniu nurtu powieści historycznymi realiami. Jest to jednocześnie droga doskonalenia artystycznego, wyraźnie dostrzegalnego rozwoju talentu.

Pierwsze dziesięciolecie twórczości Orzeszkowej rozpadła się z tego punktu widzenia na dwa podokresy; cezurę stanowi tu najwcześniejsza i szeroko znana powieść Orzeszkowej „Marta” (1872). Przeprowadzając najogólniejszą typologię wczesnej twórczości Orzeszkowej, stwierdzamy, że do roku 1872 można wyróżnić w jednolitym schemacie ideologicznym dwie modyfikacje: — powieści, ilustrujące abstrakcyjną tezę moralistyczną („W klatce”, „Cnotliwi”, „Na dnie sumienia”) oraz powieści, w których — w różnym układzie — występują bardziej skonkretyzowane historycznie problemy: nowego typu rodziny i



Eliza Orzeszkowa w r. 1880

funkcji kobiety w rodzinie oraz pracy kobiet (między innymi: „Rozstajne drogi”, „Ostatnia miłość”, „Początek powieści”, „Pamiętnik Wacławów”, „Pan Graba”, „Na prowincji”). Obydwie te grupy, bynajmniej nie zwarte chronologicznie, pokrywają niejednokrotnie tematycznie, różnią się właśnie stopniem nasycecia historycznymi realiami. W pierwszej grupie historyzm argumentacji jest wyraźnie pozorny. Druga grupa już pewniejszą stopą wdręgie po kraju, choć autorka niejednokrotnie cofa chronologię swoich współczesnych powieści w epokę przedwzrostu, nie wcale zawsze rozumiejąc fałsz takiego ahistorycznego założenia.

Momentem jednak najbardziej uderzającym jest tu rola kwestii kobiecej. Walkę o człowieka kapitalizmu przeprowadza Orzeszkowa początkowo na tym wąskim stosunku odcinku. Kwestia, która ukształtowała całkowicie większość, a nasycała w mniejszym lub większym stopniu wszystkie jej powieści pierwszego okresu, zawdzięcza swą wagę spłotowi różnorodności warunków. Wielką rolę odegrał tu fakt, że dotyczyła wysłonek pisarki polskie tradycje skazane były na „kobiecość”. Powolne niezmierzenie i utrudnienie dzieła u samodzielnianiu się pisarce sprawiły że rzadko były one w stanie wyjść poza sferę spraw kobiecych. Moralistka na użytek panien na wydaniu oraz młodych matek i gospodyń jest często racją umożliwiającą istnienie literatury, niejednokrotnie kryptomiej, jej ambityczności zamierzeń. Tak niewątpliwie ma się rzecz i z Orzeszkową, choć bynajmniej nie wywiesza ona sztylu „autorki dla kobiet”. Dalej istotniejszą zapewne rolę odgrywa tu fakt, że Orzeszkowa zaczyna pisać w okresie narastania dyskusji o emancypacji kobiet w stopniu dotychczas niespotykany. Życie wyprowadziło młodych kobiet z akademickiego dyskursu przedwzrostu i dostarczyło zwolennikom emancypacji tysiąca faktów dokonanych jako niezbytich argumentów. Zagadnienie emancypacji przetrastało w tych czasach ramy niewątpliwie doniosłej sprawy pracy i praw kobiety. Było znakiem szerszym — oznaczało negację lub aprobatę historycznego przewrotu. Te same funkcje gra ono u Orzeszkowej. Dominacja kwestii kobiecej u Orzeszkowej mimo swego podskórnego charakteru ideologicznego, ma jednak cechy pewnego wzniesienia pola obserwacji. Tak jest w istocie. Partyzkularz grodzienki, jak również doświadczenia życiowe pisarki, nie dawały jej możliwości szerokiego ujęcia całokształtu problemów nasuwanych przez nowe warunki. Trzeba jednak pamiętać, że w ramach klas posiadających kobiety płacy najbardziej służyły jednak za wielkie grzechy feudalizmu. Zbawna rada „przystosuj się” była też najtrudniejszą do wykonania w ich sytuacji

Orzeszkowa we wczesnym okresie twórczości podjęła walkę z tym, co w życiu rodziny, w życiu kobiety, pozostało z kultury feudalizmu. Walka z małżeństwem feudalnym, gloryfikacją nowego typu rodziny, nowych stosunków małżeńskich przybiera zresztą typowy charakter. Szerog powieści Elizy Orzeszkowej ukazuje we wszystkich możliwych wersjach rozkład rodziny opartej na moralnych i obyczajowych normach feudalizmu. Małżeństwa prestiżowe, bogaty ożenek jako jedyne wyjście dla arystokratycznego utrącają, handel stosunkami towarzyskimi, małżeństwa graniczących ze sobą folwarków, fetyszym pozycji towarzyskiej — cały ten bagaż obyczajowości feudalizmu niszczy i deprawuje życie człowieka. Cóż można przeciwstawić temu po stronie burżuazji?

Stanowisko Orzeszkowej, wykazujące niewolnictwo i poniżenie kobiety w ramach obyczajowości feudalnej, a wysuwającej ideał wolnej rodziny, gwarantującej swobodny i pełny rozwój osobowości wszystkich jej członków, odpowiada historycznie stanowiowi burżuazji, która zrywając więzy systemu feudalnego podjęła też surową krytykę feudalnego niewolnictwa rodzinnego. „Wolność” małżeństwa kapitalistycznego była jednym ze złudzeń

mieszczańskiej zasobności. Trwałość drobnomieszczańskiej pozycji społecznej okazuje się złudą.

Wdrórką Marty ku nizinom, atakowana niejednokrotnie ze względów artystycznych jako zbyt rozwlekły łańcuch nieszczęśliwych zdarzeń, dramatyczne napięcie, staje się znakomitą punktą społeczną obserwacji. Wachlarz zawodów ukazany został po raz pierwszy u Orzeszkowej z pozycji wykołajenia, głodnego, patrzącego ku sycym z zazdrością i nienawiścią. Autorka z dużą odwagą ukazuje, w jaki sposób wobec gędy przyskają kolejno konwenanse Marty, aż do przewartościowania burżuazyjnego pojęcia nietykalnej cudzej własności, do przeświadczenia, że ma prawo żądać możliwości egzystencji. Oskarżenie pada w powieści przeciw zastarzałym przesdom, reliktom hamującym rozwój nowych instytucji społecznych i nowych norm obyczajowych; ale owo spojrzenie rzucone od dołu na kupca i dziennikarza, złotnika i księgarza odświeżania prawa dzungli, panujące w nowym świecie, odświeża napięcie walki konkurencyjnej, w pełni wyudatnia burżuazyjną zasadę odpłatności wszystkich usług i świadczeń.

„LALKA” ELIZY ORZESZKOWEJ

„Marta” stanowi w ramach wczesnego okresu twórczości Orzeszkowej cezurę o ogromnej doniosłości. Dwa, wskazane na początku, komponenty sytuacji społecznej ziemianstwa po uwłaszczeniu i doświadczeń p.sarki nie w równomierny sposób ukształtowały ówczesny etap twórczości. Abstrakcyjna moralistka dominuje w przybliżeniu do roku 1872. Rok „Marty” jest rokiem, który podsumowuje doświadczenia pierwszego okresu twórczości Orzeszkowej i jednocześnie wprowadza do niej nowe.

W kilku powieściach, następujących po niej, najważniejszych dla okresu 1872—76, takich, jak „Eli Makower”, „Pompaliński”, „Rodzina Brochwiczów”, „Marta”, krytyka antyfeudalna i antyklerykalna sformułowana została z niebywałą dotychczas ostrością i pasją, jednocześnie zaś zagadnienie folwarku szlacheckiego występuje jako problem wielkiej wagi dla układu stosunków społecznych. Zagadnienie to, wraz z programem utrzymania ziemi w polskich rękach, pojawia się nie w twórczości, ale w rzeczywistości, w tym, co Orzeszkowa przedstawia jako centralny problem ideologiczny książki. Orzeszkowa funkcję ideologa klasy obejmuje z całą świadomością. Opisane przez nią rzeczy i sprawy zyskują tu dopiero pełną reprezentatywność zjawisk typowych, jednocześnie rozstrzygających doniosłość, centralność dla „jej” ówczesnej pozycji, problem społeczny.

Problem ten formułowany jest wprost w języku ideologii politycznej. Powieści owe mają uderzający konkretny charakter. Nasycone są nie tylko historycznymi realiami współczesności, ale wyczuć w nich można żywy, polemiczny ton, zbliżony do zagadnień ówczesnej publicystyki społecznej, która od pseudonimu dyskusji o charakterze sztuki przeszła do języka politycznych programów i hasel.

Dotychczasowa twórczość Orzeszkowej operowała zasadniczo dość jednostajnym chwytym. Demonstrując skutki niewłaściwego wychowania i nieumiejętne zagadnienia tego przedstawiciela, jednocześnie rozstrzygających doniosłość, centralność dla „jej” ówczesnej pozycji, problem społeczny.

Obecnie Orzeszkowa zrywa z patologią, nie szuka efektownych dramatów, czarno-biały schemat produktów dobrego i złego wychowania ustępuje przed galerią „ludzi porządných”, typowych przedstawicieli określonego rodzaju mentalności, właściwego przeciętnemu człowiekowi klasy. Dopiero w „Eli Makowerze” i „Rodzinie Brochwiczów” guwernierka Orzeszkowej zrywa całkowicie z moralistycznym przyzwyczajeniem i z pełnią świadomości obiekt swych pedagogicznych zabiegów dostrzegą w klasie. Orzeszkowa bierze na warsztat sytuacje typowe, wskazując na wstępie artykułu fragmenty, stanowiące panoramę losów klasy, pochodzą bez wyjątku z powieści tego okresu. Te cztery powieści trzeba rozpatrywać w ścisłym związku i wzajemnej zależności, aby zrozumieć charakter „kierunkowego odbicia rzeczywistości”, jakie daje ten etap twórczości Orzeszkowej.

Orzeszkowa nie stworzyła nigdy dzieła o zakroju „Lalki” Prusa, które stanowiłoby „sumę polskiego kapitalizmu”. Rozstrzygnął tu nie tylko charakter talentu, ale i ta odległość, jaka dzieliła reprezentowane przez Prusa pozycje pozytywizmu warszawskiego od „pozytywizmu grodzienkiego”. Istniały różnice wielowartościowe. Bo daleko jest nie tylko z Warszawy do Grodna, gdzie nie można zakładać apokaliptycznych do handlu ze Wschodem ani zawierać umów co do kupna armat i okrętów. Między rokiem 1874/6 a latami „Lalki” (1887/9) jest także kilkanaście lat różnicy — wielkiej różnicy historycznej. I daleko jest od powieści, która, opłukując stracone złudzenia mieszczaństwa, formułowała gorzkie oskarżenie pod adresem polskiego feudalizmu do cyklu

powieści, które ukazywały, jak obszarnik może i powinien urządzić się w świecie kapitalizmu, by to wyszło na dobre i jemu, i postępowi.

Ten cykl powieści nie tylko postawił jasno zafałszowaną przez Prusa sprawę sojuszu burżuazyjno-obszarniczego, ale dał entuzjastyczny wyraz wierze w przyszłość i wartość tego sojuszu. Niemniej cykl powieści Orzeszkowej z lat 1874/6 przez zbieżność tematycznie nasuwa możliwości zestawienia z „Lalką”. Analogie tematyczne nie są dla charakterystyki ideologii artystycznej pozytywizmu rzeczą bez znaczenia. Życie nasywało problematykę i wskazywało drogi rozwiązania. I zbieżność, i różnice mają znaczenie historycznego dokumentu.

W pierwszym rzędzie — punkt wyjścia. „Lalka” jest powieścią o mieszczaństwie i o zgubnych dla niego kontaktach z arystokracją ziemianką. Antyfeudalne ostrze powieści uderza nie tylko w obyczajowość klasy, ale stawia pod znakiem zapytania wartość jej funkcji społecznych w nowym układzie. Z pełnej niechęci i surowej krytyki powieści Prusa nie da się, poza Przesową, wyłowić żadnego pozytywu. Powieści Orzeszkowej to powieści o ziemianstwie i udręwiających dla niego skutkach terminowania w szkole mieszczaństwu.

Procesy społeczne, jakie w najościelniejszych zarysach uchwyciły dzieła Orzeszkowej i Prusa, to procesy degradacji społecznej ziemianstwa i tworzenia się mieszczaństwa polskiego.

Prus ukazał rozwój i działalność polskiego kapitalu finansowego. Orzeszkowa — proces charakterystyczny dla prowincji — z jednej strony zachwianie się folwarku obszarniczego i powolne wyłanianie się z powodzi klęsk i przeciwności kapitalistycznego obszarnictwa („Eli Makower”), z drugiej strony — deklamację ziemianstwa i szybki wzrost polskiego drobnomieszczaństwa. Pierwszy z tych procesów — powolna stabilizacja sytuacji klasy sygnalizuje Orzeszkowa ostrożnie, a jego kontekst powieściowy zakręca na utopie. Mieczysław Orzechowski ratuje swój folwark tuż przed katastrofą, wskutek pozyskania żydowskiego kupca, w którego rękach spoczywa jego los. Fantastyczne plany przyzmiara obszarnika z faktorem, program zastąpienia łańcucha drobnych pośredników-piawek poważną firmą handlową i powiązania jej z folwarkiem więzami wspólnych interesów oraz inwestycją kapitałów żydowskich w rolnictwo — wyraźnie wskazuje jak mgliste zarysy przybierała w oczach Orzeszkowej zapowiedź stabilizacji.

W innych natomiast tonie zobrazowała Orzeszkowa problem „Lalki” — degradację społeczną ziemianina i awans drobnomieszczaństwa. Kolejne życiowe Stefana Siecińskiego, syna zrujnowanej rodziny ziemiankiej, niedoświadczonego uczonego — a w końcu właściciela małego sklepu spożywczego w Grodnie, to specyficzna wersja „kariery kupca” — nie jest ona oświecająca — nie mamy tu szczytów kariery kupca-finansisty; po kilku latach Stefan widzi jedynie możliwość spłacenia długów i otworzenia szwalni dla siostry. Stefan wycofuje się sam z domów arystokratycznych, gdzie udzielał lekcji angielskiego. Lekta się oczu swej pięknej uczennicy, a nie bierze pod uwagę dostaw dla wojny bułgarskiej, jako pierwszego stopnia wielkiej kariery.

Skok jaki uczynił Wokulski — „z piwnicy Hoptera do buduaru hrabiny” przytacza skromny dorobek Stefana z posłania za warsztatem szewca do własnego domu na przedmieściu, rysującego się jako ponętą perspektywą przyszłości Siecińskiego. Kupiec kolonialny nie może stanowić „partii” dla pięknej Tośki, odgrywać rolę w „Rodzinie Brochwiczów” rolę panny Leckiej. Mimo miłości do Stefana ucieka ona też przed widokiem transportu śledzi w jego sklepie. A jednak mimo klęsk sercowych rodzina Siecińskich triumfuje — do niej należy przyszłość; młodsze rodzeństwo, które rośnie w cieniu lady kolonialnej ma bardziej ugruntowaną pozycję społeczną niż młode pokolenie lekomośnych Brochwiczów. Lęk przed surową edukacją mieszczańskiego życia wyrwa spód nóg dzieci szlacheckich ostatnią deskę ratunku.

Istnieje jednak książka Orzeszkowej, w której kupiec zdobywa rękę arystokratki, a jednak nie ponosi klęski uczuciowej, w której „dom” jego uczyni jest za cenną, wymagającą ochrony wartość społeczną. Jest nią „Marta”.

Zaden z wybitnych pisarzy pozytywizmu nie wyciągnął tak daleko idących konsekwencji z hasła sojuszu burżuazyjno — obszarniczego. W powieści tej zrealizowany został ideał rodziny mieszczańskiej, której rekome wartości przeciwstawiła pisarka rozkładowi szlacheckiego życia rodzinnego.

„Dom” Iwickich wystylizowany został na modę nieco purytańska; stosunki między Iwickimi a pracownikami firmy reguluje patriarchalizm — „opieką” i chęć moralnego oddziaływania. Pisarka sięga tu do dawno minionych tradycji heroicznego okresu mieszczaństwa, gdyż, jak sądzi „Marta”, „tylko na tej drodze dojść można do rozwiązania wielkiej i groźnej kwestii pracy i kapitału”.

Nie dziwno, że „domu” takiego nie może zachwiać technienie „burliwej” namietności, któremu tylekroć w powieściach Orzeszkowej ulegały dwory szlacheckie. Iwicki, jak przystało na wzorowego mieszczańskiego ceni tylko wolną wolę w tak ważnym kontrakcie, jak małżeństwo, dlatego

dokończycie na str. 6

Władysław Ozga

Przebudowa podstawowego szkolnictwa na wsi

Na progu planu 6-letniego stanaliśmy w obliczu ważnego i trudnego zadania — **przebudowy szkolnictwa wiejskiego**. Problem ten nie mógł być rozwiązany przez Polskę obywatelską — kapitalistyczną, skoro polityka oświatowa rządów przedwojennych była z natury — czy reakcyjna, antyludowa i zmierzająca do utrzymania mas chłopskich w pętach ciemnoty i zafobosowania.

W ogóle zagadnienie szkolnictwa wiejskiego nie może być rozwiązane w państwach kapitalistycznych, gdyż przeciwstawia między miastem i wsią tak w dziedzinie ekonomicznej jak i kulturalnej są nieodłącznie związane właśnie z ustrojem kapitalistycznym.

Dopiero socjalizm stawia problem wsi, a więc i szkolnictwa wiejskiego na właściwej platformie ekonomicznej oraz ideologiczno-politycznej. Podstawowym bowiem założeniem ustroju socjalistycznego jest zniesienie dysproporcji między wsią a miastem i budowa jednorodnego społeczeństwa pod względem klasowym i kulturalnym, przy równoczesnym olbrzymim podniesieniu poziomu jego sił wytwórczych.

Spółdzielczość w Polsce Ludowej otwiera drogę socjalistycznego rozwoju wsi. Dobrowolne przechodzenie gospodarstw drobnotowarowej w rolnictwo na try socjalistyczny pociąga za sobą konieczność podniesienia poziomu kulturalnego i świadomości społecznej małych i średniorolnych chłopów. Prowadzi to w konsekwencji do takiej rekonstrukcji szkoły wiejskiej, która zapewniła możliwie najwyższy poziom wykształcenia w zakresie programu pełnej szkoły podstawowej.

Wykonanie planu 6-letniego wymaga olbrzymiego zwiększenia produkcji materialnej we wszystkich dziedzinach pracy produkcyjnej. Rozwój produkcji pociąga za sobą konieczność zwiększenia liczby zatrudnionych w przemyśle oraz znacznego podniesienia wydajności pracy.

Aby wykonać te zadania, trzeba zapewnić planowe przygotowanie nowych kadr pracowniczych do potężnie rozwijających się wszystkich gałęzi gospodarki narodowej.

Ustalono zostało, że w okresie planu 6-letniego szkolnictwo zawodowe średnie i wyższe łącznie z kursami zawodowymi będzie musiało przeszkolić ponad 2 miliony ludzi. Szkolnictwo zawodowe średnie opiera się na programowej podbudowie szkoły podstawowej. Zapotrzebowanie na absolwentów szkół podstawowych z ukończoną klasą 7-mą jest bardzo duże. Szkoły średnie zawodowe i ogólnokształcące wchłaniać będą w okresie planu 6-letniego rocznie około 267.000 absolwentów z klasy 7-mej szkoły podstawowej. W ro-

ku 1949 szkoły podstawowe wypuściły tylko 217.800 absolwentów. Z liczby tej na szkoły w miesiące przypadło 95.800 absolwentów, na szkoły na wsi 122.000 absolwentów.

Możliwość podniesienia liczby absolwentów w szkołach wiejskich wprawdzie istnieje (przez podniesienie wyników pracy szkolnej), ale jest ograniczona. Podstawą rekrutacyjną kandydatów do szkół średnich, musi być zatem w dużym stopniu szkoła wiejska.

Trzeba jednak wyjaśnić, że z wielu szkół wiejskich o małej liczbie nauczycieli (tzw. szkół niżej zorganizowanych), aczkolwiek posiadających one klasę 7-mą, wychodziła młodzież o niskim poziomie wiedzy. Bardzo często absolwenci ci nie byli należycie przygotowani do pobierania nauki w szkołach średnich zawodowych i ogólnokształcących. Było to wynikiem tego, że np. w szkole o 3 nauczycielach tygodniowa liczba nauki takich przedmiotów jak język polski czy matematyka była o połowę niższa niż w szkole o 7 nauczycielach.

Stan ten zmusza nas do rekonstrukcji szkoły podstawowej, do podniesienia poziomu szkoły wiejskiej o mniejszej liczbie nauczycieli i poprzez dodanie jej dodatkowych etatów nauczycielskich. Ustalono już nową strukturę organizacyjną szkoły podstawowej przewidując następującą ilość nauczycieli i klas w zależności od ilości dzieci:

Przewidywana ilość nauczycieli i klas w stosunku do ilości dzieci

Ilość dzieci	Ilość nauczycieli	Ilość klas
40	1	4
41—60	2	5
61—80	3	6
81—150	4	7
151—200	5	7
201—250	6	7
251—300	7	7

Nowa struktura organizacyjna szkoły podstawowej wprowadzana będzie stopniowo przez Ministerstwo Oświaty, poczynając od roku 1951.

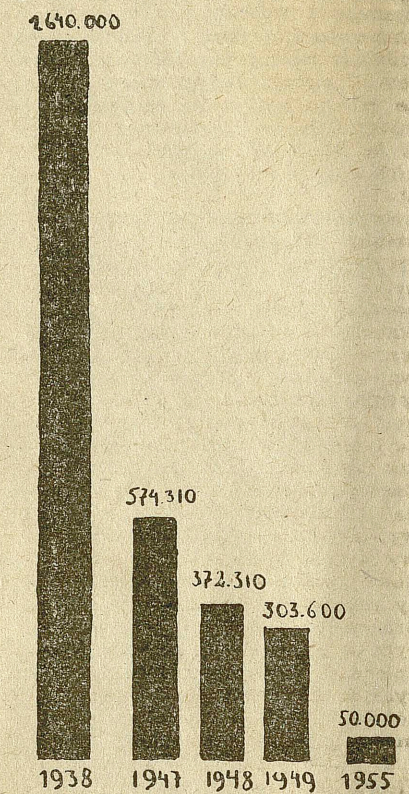
W porównaniu ze stanem dotychczasowym na wsi, gdzie szkoła o 81 dzieciach posiadała — wprawdzie rzadko — tylko 1 nauczyciela, ale z reguły nie więcej jak 2 nauczycieli, nowa struktura organizacyjna szkoły podstawowej będzie wielkim krokiem naprzód.

Budowa ustroju socjalistycznego i związany z nią rozwój sił wytwórczych, wzrost produkcji materialnej, pociągają za sobą konieczność podniesienia jakości wzrostu w dziedzinie nadbudowy a w dziedzinie oświaty i kultury w szczególności.

O rozmiarach zamierzonej reformy przekona nas szczegółowe rozpatrzenie problemu szkoły wiejskiej w Polsce w okresie odbudo-

wy szkolnictwa podstawowego po ostatniej wojnie w porównaniu ze stanem, jaki mieliśmy w tej dziedzinie w Polsce kapitalistycznej.

Przed wojną olbrzymia masa dzieci wiejskich pozbawiona była możliwości uczęszczania do szkół siedmioklasowej. Typową szkołą dla wsi była tzw. szkoła pierwszego stopnia (o 1 lub 2 nauczycielach), realizująca program zaledwie 4 klas. Do szkół pierwszego stopnia uczęszczała zasadniczo masa dzieci chłopskich i to w pierwszym rzędzie dzieci średnio i drobno-rolnych chłopów. W roku 1937-38 w szkołach z najwyższą klasą czwartą było 1.640.900 dzieci, co stanowiło ponad 46 proc. ogółu dzieci w wieku szkolnym na wsi.



Tablica I. Liczba dzieci uczęszczających do szkół podstawowych z najwyższą klasą czwartą.

W Polsce Ludowej dokonaliśmy na tym odcinku prawdziwego rewolucyjnego przewrotu. Oto w wyniku konsekwentnej polityki, zmierzającej do podniesienia kulturalnego wsi, w pierwszym roku planu 3-letniego (rok szkolny 1947-48) mieliśmy w szkołach nie posiadających wyższych klas niż czwartą już tylko 574.310 dzieci, a w bieżącym roku szkolnym mamy w szkołach tego typu 303.600 dzieci.

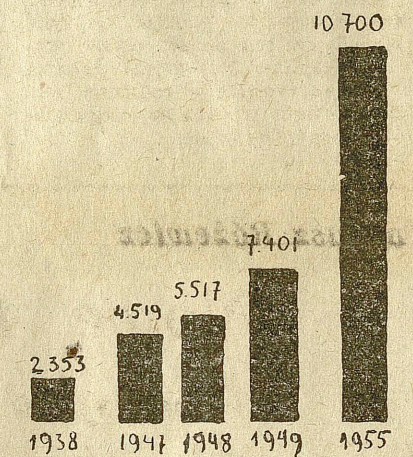
W wyniku nowej struktury organizacyjnej szkolnictwa podstawowego i planowej przebudowy sieci szkolnej na wsi w okresie planu

6-letniego, nastąpi niemal całkowita likwidacja szkół najniższej zorganizowanych. W roku 1955 będzie uczęszczało do szkół z najwyższą klasą czwartą nie więcej jak 50.000 dzieci. Problem ten ilustruje tablica 1.

Równocześnie z likwidacją szkół mało wartościowych, szkół z najwyższą klasą czwartą, postępuje w Polsce Ludowej proces ilościowej rozbudowy szkół najwyższej zorganizowanych tj. szkół siedmioklasowych. Przed wojną jedna siedmioklasowa szkoła przypadała na siedemnaście gromad wiejskich, dziś co siódma gromada posiada szkołę realizującą program 7 klas. W roku 1937-38 na 25.070 szkół na wsi zaledwie 2353 szkoły realizowały program 7 klas. Do szkół pełnych uczęszczało w roku 1938 tylko 27,2 proc. ogółu uczniów szkół wiejskich. W bieżącym roku szkolnym uczęszcza na wsi do szkół z najwyższą klasą siódmą 65,2 proc. ogółu uczniów szkół wiejskich. Zagadnienie to ilustruje tablica 2 i 3.

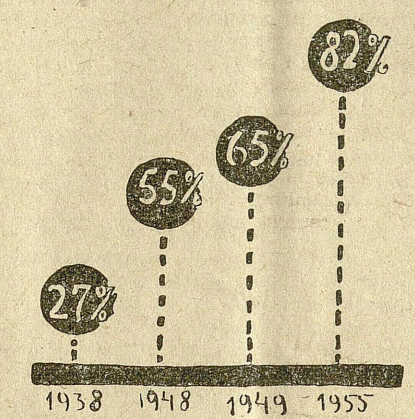
Rekonstrukcja szkoły wiejskiej pod tym względem organizacyjnym w myśl zasad wyżej nakreślonych tworzy warunki, umożliwiające dziecku wiejskiemu uczęszczanie do szkoły pełnej. Problem przebudowy szkoły na wsi, nie może się jednak tylko do tego ograniczyć. Celem zamierzonej reformy szkolnictwa podstawowego jest nie tylko zagęszczenie sieci szkół pełnych na wsi, ale również stworzenie warunków do ukończenia 7 klasy przez możliwie największą liczbę pracujących chłopów. Nowej strukturze organizacyjnej szkoły podstawowej towarzyszyć musi walka o podniesienie wyników nauczania, walka z drugorocznością, walka z tzw. „odsiewem szkolnym”.

Nie wolno dopuścić do tego, aby rozbudowany warsztat szkolny działał źle, by dzieci chłopskie po zdobyciu dostępu do szkoły reali-



Tablica II. Liczba szkół pełnych na wsi.

zującej program 7 klas, gubiły się po drodze do klasy 7. Zjawisko „odsiewu szkolnego” potwierdzają dane statystyczne. Oto w roku szkolnym 1948-49 w klasie pierwszej w szkołach podstawowych na wsi było 357.738 dzieci, a w klasie 7 tylko 129.524 *). Trzeba dodać, że



Tablica III. Stosunek procentowy liczby uczniów uczęszczających do szkół z najwyższą klasą siódmą, do ogółu uczniów w szkołach wiejskich.

„odsiew” przed wojną w Polsce sanacyjnej był bez porównania większy i godził na wsi przede wszystkim w bezrolnych oraz drobno i średniorolnych chłopów.

Statystyka sanacyjna ukrywała kompromitującego dla ówczesnego reżimu podziału młodzieży szkolnej wg. składu socjalnego. Dlatego

Stosunek liczby dzieci klasy I do liczby dzieci klasy VII w zależności od przynależności klasowej rodziców w woj. warszawskim w roku szkolnym 1949-1950.

Wielkość gospodarstwa rodziców	Uczniowie		Stosunek procentowy uczniów kl. VII do kl. I
	w kl. I	w kl. VII	
do 2 ha	5 110	2 314	45,3 %
2 — 7 ha	16 508	10 512	63,7 %
7 — 15 ha	4 474	4 981	112,2 %
15 i więcej ha	525	732	139,4 %

też posiadamy jedynie dane liczbowe, dotyczące ogółu dzieci w klasie pierwszej i siódmej szkoły powszechnej, które mówią nam o katastrofalnym wprost „odsiewie szkolnym” przed wojną. W roku szkolnym 1937-38 liczba uczniów klasy siódmej stanowiła tylko 18 proc. liczby uczniów klasy pierwszej.

„Odsiew szkolny” i dziś jeszcze posiada charakter klasowy, jest wyrazem walki klasowej, rozgrywanej się na terenie szkoły. Walka ta trwa do dziś. Dziecko bogacza wiejskiego z łatwością dochodzi do klasy siódmej, natomiast dziecko drobno i średniorolnego chłopka kończy swoją naukę w dużym odsetku przeważnie na klasie 4. Aby nie być gołosłownym przytoczę przykładowo dane statystyczne dla województwa warszawskiego.

„Odsiew szkolny” i dziś jeszcze posiada charakter klasowy, jest wyrazem walki klasowej, rozgrywanej się na terenie szkoły. Walka ta trwa do dziś. Dziecko bogacza wiejskiego z łatwością dochodzi do klasy siódmej, natomiast dziecko drobno i średniorolnego chłopka kończy swoją naukę w dużym odsetku przeważnie na klasie 4. Aby nie być gołosłownym przytoczę przykładowo dane statystyczne dla województwa warszawskiego.

„Odsiew szkolny” i dziś jeszcze posiada charakter klasowy, jest wyrazem walki klasowej, rozgrywanej się na terenie szkoły. Walka ta trwa do dziś. Dziecko bogacza wiejskiego z łatwością dochodzi do klasy siódmej, natomiast dziecko drobno i średniorolnego chłopka kończy swoją naukę w dużym odsetku przeważnie na klasie 4. Aby nie być gołosłownym przytoczę przykładowo dane statystyczne dla województwa warszawskiego.

„Odsiew szkolny” i dziś jeszcze posiada charakter klasowy, jest wyrazem walki klasowej, rozgrywanej się na terenie szkoły. Walka ta trwa do dziś. Dziecko bogacza wiejskiego z łatwością dochodzi do klasy siódmej, natomiast dziecko drobno i średniorolnego chłopka kończy swoją naukę w dużym odsetku przeważnie na klasie 4. Aby nie być gołosłownym przytoczę przykładowo dane statystyczne dla województwa warszawskiego.

„Odsiew szkolny” i dziś jeszcze posiada charakter klasowy, jest wyrazem walki klasowej, rozgrywanej się na terenie szkoły. Walka ta trwa do dziś. Dziecko bogacza wiejskiego z łatwością dochodzi do klasy siódmej, natomiast dziecko drobno i średniorolnego chłopka kończy swoją naukę w dużym odsetku przeważnie na klasie 4. Aby nie być gołosłownym przytoczę przykładowo dane statystyczne dla województwa warszawskiego.

go, ilustrujące nasilenie walki klasowej w szkole, walki o dostęp dzieci do klasy siódmej *). Zestawienie poniższe świadczy o poważnej sytuacji pod względem politycznym na odcinku szkolnictwa wiejskiego. Z danych liczbowych dla woj. warszawskiego widać, że walka robotników i chłopów o dobrą szkołę dla własnych dzieci nie została zakończona, że dziecko bogacza wiejskiego potrafi jeszcze w Polsce Ludowej odeprzeć dziecko biedoty wiejskiej od szkoły średniej lub wyższej właśnie dlatego, że osiąga to już w stosunku do wyższych klas szkoły podstawowej. W rozgrywanej się na wsi ostrej walce klasowej, bogaty chłop ma na odcinku szkolnym wciąż przewagę nad mało i średniorolnym chłopem.

Przebudowa szkoły wiejskiej musi więc pójść również w kierunku radykalnego zmniejszenia odsiewu dzieci chłopów pracujących z wyższych klas szkół podstawowych. Ważne to zadanie osiągniemy zarówno przez zmianę struktury organizacyjnej szkoły, jak też przez walkę o wyniki nauczania i otczenie szczególnej opieki przez nauczycielstwo i władze szkolne dzieci bezrolnych oraz drobno i średniorolnych chłopów.

Przebudowa szkoły wiejskiej, troska o właściwy skład socjalny uczniów wyższych klas szkoły podstawowej na wsi, walka o utrzymanie tego właściwego składu so-

cialnego na wyrównanym poziomie czyli walka o podniesienie poziomu oświaty i kultury wśród najbardziej zbliżonych do klasy robotniczej mało i średniorolnych chłopów staje przed terenem jako pryncypalne zadanie. Kola partyni, organizacje gospodarcze, społeczne, młodzieżowe i zaktywizowane Komitety Rodzicielskie muszą się nastawić dogłębnie na tę walkę, której tok i wyniki przysięgają socjalistyczna przebudowa wsi polskiej.

WŁADYSŁAW OZGA

*) Porównaj: Szkolnictwo w latach 1948-49 zeszyt Nr 1 Wyd. Min. Oś.

**) Materiały liczbowe zaczerpnięte z Ministerstwa Oświaty. Opracowania dla całej Polski nie zostały jeszcze zakończone.

Bawiąc się, dokuczaliśmy nieraz starej, obłąkanej Dorcie. Mieszkłała sobie w malusienkiej jak kocyk chałupce, którą specjalnie na to skleił Pietrek Łojowski, brat Dorki, gospodarz na czternastu morgach. Ale to nie była chałupka, tylko naprawdę psia будa. Wysocki chłop sięgał głową kalenicę „ozdobioną” garnkiem bez dna. To był niby „komini”. W ściankę była wprawiona szybka wielkości mniej więcej koperty listowej. Zaglądaliśmy przez tę szybki i obserwowaliśmy wnętrze budy. W kącie stał okopany kominek, a połowę zabłoconej polepy zajmował barłóg ze słomy. Całość miała najwyżej dwa metry długości i półtora szerokości. Śmialiśmy się i wołaliśmy: — „Glupio Dorka, nie jodo z miski łoś z gorka!” Dorka wylatywała przed drzwi, rzucała za nami garnkiem albo gnojem ze sweego łogawiska i krzyczała jakieś niezrozumiałe słowa.

Tuż za Dorczyną budą stała również na nawsiu chałupka Kantoroowej, wdowy po wyrobniku. Chałupka ta była trochę większa od Dorczyny, lecz też miała kominek z garnka. Oprócz waznielkiej sienki i maleńkiej izby, nie było żadnej komórki, szopy czy choćby chlewika na owce. Zresztą chlewik nie był potrzebny, bo jedynymi bydłkami Kantoroowej były króliki pod łózkim.

Sąsiedzi, zarówno gospodarze jak i biedacy nazywali Kantoroową „dziadówką”, gdyż od czasu do czasu łaźła po prośbie w sąsiednich wioskach. Ale tylko wtedy, gdy ją głód wypędzał, gdy ją nikt nie nałajd do przędzenia lnu, skubienia pierza i innej posługi. Nie wiele przy tym zarobiła: jakas garść zboża, czy maki, garniec ziemniaków, ale przecież siebie i córki jakoś pościł. Później, gdy córki dorosły i poszły do służby — troszkę jej się „rozwiidniło”. Ale często znów się „przyciemniało”, gdy córki na jakiś czas straciły służbę.

Naprzeciw, po drugiej stronie drogi stała chatka Stacha Łojowskiego, właściciela dwu morgów ziemi. Chałupka ta była troszkę większa od Kantoroowej, miała komin z kamienia, a w sieni obórkę, bo Łojowski chował krowinę, którą pasał na nawsiu. O tę krowinę wszystkie sześć córek Łojowskiego „rzucały” losy, której się na wiano dostanie. Wiedziały, że tej, która się najpierw wyda, Tak rodzice przyrzekli. Aby im było, że bez soli jedli i popoliu

Józef Pogan

Dziadowskie budy*)

opatrzyć!” — uczyli je cnotliwości, pracowitości i pobożności. Posłuszne córki pracowały pilnie u bogaczy, we dworze, lub w mieście na służbie, u „państwa”. Zaoszczędzone grosze przynosiły do domu na płacenie podatku, na sól i inne potrzeby.

Niżej znów, o parę domków za Kantorową chałupką na pagórkowatym placu Michała Pogana, miała chatkę stara Habdaska. Tam też był kominek z kamienia i w sieni pomieszczenie dla owiec. Syn Habdaski pracował w kopalni, trzy córki czasem służyły u gospodarzy, czasem przebywały w domu. Wtedy i chatkę wapnem pięknie wybielili i w ogródku przed okienkiem kwiatki pielęgnowali. A do reszty zbawiali do siebie chłopaków. To też co wieczór było tam rojno i gwarno.

Powyżej, może o jakieś trzysta kroków stała nad nawsiem na sadzie Jana Pogana chałupka starej Matyski, a tuż obok — Leona Wawra. Matyscyńska była jako kocyk — wcale niewielka od Dorczyny budy, kominek też miała ze starego garnka. Wawrowa była troszkę większa i miała sieni przegrodzoną w połowie na pomieszczenie dla owiec.

Dalej w stronę kościoła w pobliżu „Doliny” stała kuczka starej Jewki. Taka sama jak Kantoroowej czy inne. Jewkę z Józką spotkało tam nieśczęście — łóżko wywróciło się z nimi do góry nogami. Nie był to żaden „cud”, ale zwyczajna „zewnętrzna siła”. Otóż wczas rano sąsiad wyjeżdżał do lasu. Nim ujął lejece w ręce — koń spłoszył się i popędził naprzód. Dyszel uderzył w ścianę Jewczynej kuczki, przediurując ją, szarpnięciem w bok wyrzucił ją, wewnątrz łóżko z śpiącymi kobietami. Jednak dyszel się nie złamał, koń też przełamał opór ściany i dalej popędził z wozem.

Na „Dębowej Górze” stało dwie kuczki. W jednej, mniejszej szewcowal Jan Kantor, w drugiej mieszkała ze starszą matką dwaj jego bracia. Starszuszka leżała w łóżku, zaś synowie „gospodarowali” na kawałku matczynego dożywocia. Ciężko im było, że bez soli jedli i popoliu

zamiast mydła do prania używali. Toteż brata Jędrka często na polu z siekierami gonili.

— Śmierć twoja, jak nom nie dospłaty, bo my nie bedymy zdychać od biedy! — krzyzeł. — Jo w Boga nie wierze i musie cie zakatrupić! — przysięgał się młodszy.

Jędrę też ledwie zipsał od biedy, więc nie „wykupował” się od ewentualnej śmierci uregulowaniem spłaty i po każdej napaści szedł ze skargą do policji. Palka policyjna na chwilę tylko uspakajała biednych wieźczieli. Wtedy błagali: — Panoczek, my w Boga wierzymy i nie zabijemy go — udawali zbikowanych. A niebawem: — Jo w Boga nie wierze, zaśliagtuje cie jak mi nie dospłaty! Wole zgnić w kryminale, jak zdychać od głodu!

Nieco niżej, niby jaskółcze gniazdo — przylepiona była do brzegu chałupka Bartka Habdasy. Maleńka jak inne, ale przecież troje ludzi jakos się w niej zmieściło. I sieni też była przepołowiona na pomieszczenie dla owiec. Habdasy był bardzo pracowity i nie gardził żadną robotą. Narabiał wszędzie. Młócił zboże, groził ploty, obcinał gałęzie na wierzbach i topolach, a nawet gołił nieboszczyków i wkładał im ubrania. Wynagrodzenie pobierał niskie. Ile kto dał: trochę zboża, lub ziemniaków i do syta jedzenia podczas pracy, gdyż był zawsze głodny. Pono dużo zjadał. Karmił go więc go sucharze czymkolwiek, przeważnie sypym i twardym, żeby mu „dłużę w brzuchu siedziało”. I to raz Bartka zgubiło: pojadł niedogotowanego bobu, przejechał parę dni i zmarł. Mało kto go pożałował, choć wielu gospodarzom tyle się wysługiwał. Nawet i żartowali sobie, że „mu bob w brzuchu skielkował i rósł jak na zagonie”.

Poza tymi kuczkami były jeszcze inne z różnymi „wypustkami, zahajami” i szopami z chrustu plecionymi, zastępowanymi stodołami. To były „zabudowania” biedniejszych gospodarzy. Prosto naszej chałupy, po drugiej stronie drogi stała taka kuczka Jana Filipka. Wyglądała „małowniczo”, z trzech bowiem stron opasywały ją zahaje z choiny i skle-

cone chlewiki na gesi i kozy. Obok stała upleciona z chrustu stodoła. Gnojownia była na nawsiu przy drodze.

Filipek był bardzo pracowity, zabiegliwy i oszczędny. Kombinował rozmaicie, aby jakoś żyć. Hodował gesi, kaczki, kozy, żona z dziećmi zbierały latem grzyby, borówki i nosiła je na sprzedaż do miasta. Mimo to chleb „rusany” z żarnowej maki jadali tylko w niedzielę i święta.

Filipek drwił czasem z sąsiada Jędrki Mrozowskiego, bo u niego panoszyła się nędza, że hej! Nie wiele pomagało Jędrkowi bezustanne wywijanie cepem nad swoją duszą u bogaczy — nędza zamiast folgować, jeszcze się pogarszała. Motyka ciupał ziemię, taczkami gnoj w pole wywoził, a często nawet we worach z żoną wynosił. Gnojówka ciekła im po plecach, ale darmo i trudno — nie było pieniędzy na najem koni. Jędrę z Maryną stałe się gryzli od biedy. Mieli najwyżej po jednej postrzępionej koszuli, bo u bratni czu spódnicy to szkoda gadać. Wyglądali jak te strachy w konopkach. A dzieci jak cyganiatka — nago prawie łaźli.

Oprócz nieruchomości (parę morgów kamienistej ziemi i chatka z przyklejoną szopą-stodołą) dobytek Mrozowskiego składał się: z kościwej krowiny, paru kur, kilku królików pod łózkim i roju karakonów w podprzypieku, oraz ze starej skrzynki po dziadkach, ławki, łózka, wyrka, pianka w kącie izby do rąbania drzewa i trochę narzędzi jak: siekierka, cep, motyka itp.

Choć Mrozowski mieszkał gorzej od bydlat w chlewie, jednak starej Łabaczce musiał wyporządzić chlewki na mieszkanie, bo jej się z racji jakiegos pokrewieństwa należało. To Jędrka mocno przyniętło, bo musiał nową powalke w chlewiku zrobić, ściany wapnem wybielić i okienko o czterech szybach wprawić, bo Łabajka nie zgodziła się na jedną szybke.

O kawałek od kuczki Mrozowskiego cupiała pod brzegiem „Dębowej Góry” kuczka Francka Słachty. Tam było trochę czystsiej, niż u Mrozow-

chniecie gardla, czyli angina). Umiął rozpoznać chorobę i lekarstwo też sam sporządził. Chwytał małą, zieloną żabkę, przywijał jej sznurkiem do tylnych nóg i żywą wieszał na słońcu. Tak wysuszoną żabkę zawijał w chusteczkę i obwiązywał nią choremu szyję. Jeszcze na parę lat przed wojną uważano, że to pomaga, a i po wojnie też byli tacy, którzy temu wierzyli.

Chałupa Jasia Odrobiny też była mała i na dziadowską wyglądała. Komin miała prawdziwy, z kamienia i okna o czterech szybach, za to ściany w pałak wykrzywione. Stodoły też nie było, tylko szopa z chrustu przy ścianie. W izbie na krok od tylniej ściany stał wysoki i szeroki piec. Służył on nie tylko do gotowania strawy, ale i do sypania.

— Józek, kaj ty sipios? — pyta mnie raz syn Odrobiny, z którym zwykłe się bawiłem.
— Na łóku w nogach! A ty kaj?
— Za piecem.
— Nie goraco ci?
— Nie, bo nago sipiom, bez koszuli.

— To ci zimno.
— Nie, bo śpie we worku.
— We worku...? — rozdziałem głębe.

— Zdymie koszulę, właze do worka, kładę się i śpie.
— Muse uzyć jak sipies.
— Przyjdź wiecór, to uśrys.
Pod wiecór poleciałem tam ze starszym bratem.

— Bodzies właził nago do worka, bo chce uzyć — szepnąłem. Zawstydził się i czekał.
— Do spania chopiki! — gada ojciec. I wy tyż się wynosić!

Skuliliśmy się pod ścianą i czekamy nieśmiało. Chłopak ściga z siebie majteczeta i włazi w koszulinę za piec.

— Zdym to koszulsko, bo sie zdeze od spania! — krzyknął ojciec. — Wy wisusy, wynocha juz! — otworzył drzwi.

Tyle było tych biedniackich i „gospodarskich” bud w sąsiedztwie mych rodziców. W te na nawsiu chłopcy bawie się waliłi czasem kamieniami, bo to były przecia „dziadowskie budy”.

Józef Pogan

*) Fragment książki pt. „Niezaklamana opowieść”, która wkrótce ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.

Tadeusz Papier

SPRAWA NAUCZYCIELKI

Jakkolwiek uregulowanie rzeki Sanicy nie ma nic wspólnego ze sprawami pedagogicznymi, to jednak historia ta od razu wypłynęła podczas przeprowadzanej samokrytyki tow. Chęcińskiej, nauczycielki szkoły podstawowej w Nowej Wsi.

W przeprowadzonej samokrytyce nauczycielka Grażyna Chęcińska podkreśliła dwa główne momenty swojej działalności społecznej: inicjatywę przy regulacji rzeki Sanicy oraz działalność społeczną w szkole. Nauczycielka szukała błędów w swojej pracy i znalazła je w „nie dość silnym wiązaniu się ze sprawami ogółu, nie dość energicznym udziale w podjętych akcjach”, czasami „niewierze w powodzenie zacegłego dzieła”, „gdym wyniki byłyby dużo lepsze”.

Tow. Seremak (sekretarz podstawowej organizacji partyjnej) podważył ten tok rozumowania. — Przecież bardzo — w pewnym momencie rozłożył na stole mapę wsi. — Oto nasza przekłeta rzeka. Zatrzymała nam płucę od dzieciństwa. Kto ją naprawił? Można powiedzieć, nauczycielka. Z jej inicjatywy wyszedł projekt uregulowania rzeki i skierowania jej biegu inaczej. Zrobiła dobrze? Odpowiedź, zrobiła dobrze, ale też i zła!

Szkola w której odbywało się zebranie, mieściła się na niewielkim wzgórzu, otoczoną kilkoma drzewami. Jakies pięćset metrów na prawo przepływała rzeczka Sanica. Na mapie rzeczka była ledwie zaznaczona jako anemiczny strumień, wijący się nieregularnie pośród bagni i podmokłego terenu. W istocie rzeka była już od dwóch lat uregulowana, brzegi odornione, miejscami wyłożone kamieniem koryto ujęte w wiklinowe płotki. Wzdłuż rzeki pochyliły się dwa rzędy wiklin. Teraz świeciło słońce i żółtozielone drzewka nadawały szczególnej oprawy płynącej wodzie. Za wsią rzeka skręcała gwałtownie na południe i podchodziła prawie pod sam dom bogacza Michałowskiego. Ze szkoły widać było tylko dużą plamę zielonych drzew. Ledwie rysował się wśród nich biały, murywany dom bogacza. Widać było za to wyraźnie dwa kwadraty stawów i ciemną sylwetkę młyna.

Dawniej rosły nad rzeką wierzyby, krzaki szczytny. Rzeczka płynęła leniwie, wila się nieregularnie, omijając najmniejszą przeszkodę. Miejskami tworzyła naturalne stawki obrosnięte nagłymi rdestem, strzałką wodną, gryzbielami. Wieczorami unosiły się nad wodą roje komarów, prawie bez przerwy śpiewały chóry żab. Wieczne mgły rozchodzą się nad sąsiadującymi polami. Mimo naturalnego, słynnego pola, były zabagnione, zakisłe, łaki zamieniały się w grzęzawiska. Chłopi kłeli śmierzącą wodę, która prawie nie odchodziła z ich pól, ale nikt nie zdobył się na jakiś zarządek środek. Przekopywano co prawda od czasu do czasu koryto, wycinano chwasty, ale większego pożytku z tego nie było. Taki stan istniał jeszcze do 45 roku.

Nauczycielka zwróciła na siebie uwagę partii wystąpieniem w sprawie uregulowania koryta rzeki. Wtedy, badając teren dośladła do przekonania, że można by zmienić bieg rzeki i wówczas rozwiązałby się problem odwodnienia pól nowowiejskich. Projekt dawał realne korzyści. Gromada zyskiwała na tym około 5 hektarów dobrej łaki, nie mówiąc już o korzyściach odwodnienia pól. Sprośdzeni technicy — nie miała w tym wypadku pomocą służyła Samopomoc Chłopska — potwierdzili przypuszczenia nauczycielki. Zaczęły się teraz dla niej gorączkowe dni. Chodziła po organizacjach, agitowała. Zwołowała zebranie dwóch sąsiednich gromad, które były zainteresowane sprawą. Historia stała się głośna w powiecie, a nawet szerzej, kiedy chłopci postanowili uregulować rzekę w ramach czynu na Święto Ludowe.

Były to pierwsze dwa lata powojenne, kiedy na wsi nie stawiano ostro walki klasowej, bito raczej na „zgodę narodową”. Seremak mówił, że była to nie zgoda a zdrada narodowa. Do pracy stanęła cała wieś. Nawet bogacie nie uchylali się od szarwarków. W pewnych momentach byli nawet stroną inicjującą.

— Był to czyn, w którym — jak się wyraziła nauczycielka — wzięła udział cała wieś.

— Był to czyn w którym zdaliśmy co prawda egzamin organizacyjny i roboczy — mówił potem Seremak — ale też nie zdaliśmy egzaminu politycznego! Okazaliśmy się niedojrzali, krótkowzroczni. Nie winię tu tylko tow. Chęcińskiej, ten błąd obarcza nas jednakowo, ale trzeba go rozpatrzeć, bo kryje się tu niebezpieczeństwo na przyszłość. Tow. Chęcińska powtórzyła ten sam błąd w szkole.

Blizsza analiza wykazała, że popełniono tu zasadniczą omyłkę. Można było rzekę skierować dwiema drogami. Gdyby tow. Seremak i inni z organizacji przed rozpoczęciem robót przyjrzyli się dokładnie mapie rozmieszczenia gruntów gromadzkich spostrzegliby od razu dwie ścieżki: jedną, którą można było poprowadzić bieg rzeki „starym korytem” po wschodniej stronie wzgórza, na którym stała szkoła i wówczas Sanica przepływałaby przez większą część gruntów należących do małych i średniorolnych chłopów. Wybrano z pozoru krótszą drogę i dającą co prawda prawie te same korzyści odwadniające, ale rzeka płynęła teraz przez pola najbogatszych chłopów. Nie zdawano sobie początkowo sprawy z takiego rozwiązania, a nawet cieszyli się, że bogaci na tym stracili. Bogacz, jak Michałowski, Kozera, Kozłowski podtrzymywa-

li tę opinię, uważali się na straty. Obliczali swoje dniówki. Argumentowali nawet — dlaczego nie puścić rzeki starym korytem przez pastwiska? Żalę te potem urosły do takich rozmiarów, że chłopcy poczęli wierzyć w krzywdę Michałowskiego i innych.

Dopiero kiedy bogacz Michałowski nie bacząc na „ubytke” ziemi pokopał stawy i tamy i począł stawiać zreby młyna i ował ze nie decydował o poziomie wody na rzecze, otworzyli się wszystkim oczy. — To interes dopiero — mówili chłopcy. Ale mówiono raczej z podziwem. W roku 47 młyn już stał prawie gotowy, w stawach Michałowskiego założyli hodowle ryb, do kościoła zaczął jeździć bryczką.



rys. Stefan Gierowski

— W tym jest właśnie niebezpieczeństwo, w porozumieniu z kula-kiem. To niby na pozór nieważne, kiedy pójdziesz rzekę — ale nasza powinność była przewidzieć wszystkie konsekwencje.

Michałowski i Kozera dobrze wykorzystali kapitał włożony w regulację rzeki. Došlo do tego, że ich poczęto uważać za głównych inicjatorów robót. Ich wkład był przecie „największy”: dniówki konne, robocze, pieniądze. Nikt nie zadał sobie trudu, aby porównać wkład bogaczy i biedoty. Na uroczystym zakończeniu robót — Michałowski był wtedy prezesem gminnego PSL — chór z Nowej Wsi, który wystąpił ze specjalnym repertuarem pieśni dwuwierszowych na cześć każdego z członków komitetu roboczego, śpiewał pod adresem Michałowskiego:

*„Apan przez się zlitował
i nam rzekę wybudował”.*

Michałowski mrużył dobrodusnie oczy i uśmiechał się przyjaźnie pod ekonomskim wąsem.

W tym okresie doszło do zerwania stosunków pomiędzy nauczycielką a „prezesem” Michałowskim. Sprawy spornych nagromadziło się dużo. Uroczystość „rzeczna” mimo swego charakteru sielankowego sygnalizowała przyszłe konflikty. Zatarł o pastucha, którego Michałowski nie pisał do szkoły spowodował pierwsze publiczne starcie nauczycielki z bogaczem. Michałowski prawie wyrzucił z domu interweniującą nauczycielkę.

Analizując teraz ten okres w życiu nauczycielki tow. Seremak powiedział, że mimo prowadzonej już wówczas walki z Michałowskim nauczycielka sobie sprawę z charakteru tej walki. Spór cały odbywał się niejako w „rodzinie”. Tow. Chęcińska nie ustawiała jeszcze Michałowskiego klasowo. Portret bogacza był zamazany. Nawet konsekwencje prywatnego sporu należało oświetlić od strony politycznej. Bo byli i związki prywatne!

Tow. Chęcińska była córką szewca z Nowej Wsi. Ojciec miał 1,5 hektara ziemi i z trudem mógł utrzymać przy życiu rodzinę złożoną z żony i trojga dzieci. Dorabiał też szewstwem. Naprawiał buty, robił na zimę drewniane chodaki, różne kombinacje sandałów. Rodzina pracowała u Michałowskiego i Kozery. Ten stan zależności i odrębności trwał całe lata. Stary Chęciński uprawiał swój zawód przed wojną pokatnie. Żał mu było pieniędzy nawet na wykupienie patentu. Często też odwiedzała go policja, lecz rzadko mogła wytoczyć mu proces o uprawnienie potajemnie zawodu. Stary miał zwyczaj przyjmowania obywateli najwyżej od dwóch klientów, tak że zapas butów w domu nigdy nie wzbudzał żadnego podejrzenia. Ale i wtedy, gdy policjant odprowadzał go do gminy na badanie interwencji Michałowskiego robiła swoje. Stary wracał do domu szczęśliwy, że nie musi płacić kary. Wieczorem przez postać Michałowskiego przysyłał mu jakieś buty do naprawy. Kiedy indziej bogacz ratował rodzinę Chęcińskich w nagłej potrzebie, przysyłając w krytycznych momentach ziemniaki, żyto, lub nawet służąc pieniędzmi. — At, odrobicie ta kiedys — mówił przy tym lekceważąco, kiedy stary szewc nie wiedział, jak mu dziękować. Nie zapomniał jednak notować sum, które wydawał na

„szewców”. Czasami wymieniał żartobliwie ogólny dług Chęcińskiemu. — Czy wiecie, ile już się zbierało? 250 zł., 300 zł., 350... Przy innej okazji znowu mówił — co ja mam z wami...

„Dzięki” też Michałowskemu młodzieńca Chęcińska mogła się uczyć podczas okupacji. Bogacz zaproponował kiedyś pożyczkę szewcowi, aby córkę uczył, okazał nadarza się właśnie doskonała, jest u niego student z Warszawy, nie ma gdzie mieszkać, u niego Michałowskiego jest stale ludno, zajeżdżają nawet Niemcy. Chęciński zaś mieszkał na uboczu, mógłby przyjąć do siebie studenta, Michałowski da „życie”, w zamian za to zrobi się u szewca „taką małą szkółką”. Będą przychodzić tylko

„szewców”.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała, że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności” Michałowskemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikolajczykowski, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym” w walce klasowej, w której zagrożony kulał przechodzi do kontrofensywy. Żadnego groza bogacz nie wyrzuca na „filantropię”. Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wysiłek społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach” całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą”. Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędnym”. I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła” Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgłębienie ziemi nie pływały po malych stawach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na różne świadczenia dla szkoły, przywozić drzewo na opał, naprawić dach, ale nie w tym rzecz. Można by to nazwać dalekowzrocznością polityczną bogaczy. „Zwycięstwo nad Sanicą” pozwoliło Michałowskemu i spółce na realizację dalszego etapu, mimo że we wsi następowały niedobre dla nich zmiany.

W gminie wójtem został chłop malarz, Kozuch, do gminnej rady narodowej wchodził sam mało i średniorolni chłopcy, sołtysami byli w przeważnej części dawni odrodnicy Michałowskich, Boguckich, Kozarów. W 46 r. jeszcze śmieszili bogaczy wiejskich „urzędnicy, którzy przed wojną koze odsładywali”. Kiedy jednak sołtys Nowej Wsi Kowalec zagroził publicznie Michałowskemu, że w wypadku ukrywania swoich dochodów (bogacz chciał „zatatwić” w gminie uznanie trzech hektarów za nieużytki) pójdzie zapoznać się z tą samą kozą, do której przed wojną zamykał innych, kiedy tu i ówdzie partia zaczęła ukrać bogaczy — ci jakby oprzytomnieli. Zmienili też i taktikę walki.

Szkola wydawała się Michałowskemu i innym bogatym chłopom tą instytucją, którą należało przede wszystkim opanować. Grono pedagogiczne nie wydawało się bogaczom zbyt trudną pozycją do zdobycia. Kierownikiem był stary nauczyciel, który „zasadniczo nie mieszał się do polityki”.

Dwie nauczycielki również stały na gruncie „lojalności”. Jedynie tow. Chęcińska budziła pewien niepokój w bogaczach. Michałowski jednak uśmiechał się drwiąco: — da się radę! Nie takie przeszkody omijałismy? Wiedział, że nauczycielka ma w domu stale kłopoty z ojcem i matką. Rodzice wyrzucali jej „odszerzenie”, przepowiadali kłeskę. Upojony był przy tym sukcesem z Sanicą. Młyn już zaczął zwracać wkłady.

Michałowski początkowo pobliżi-

wie odnosił się do nowej nauczycielki, sam dziwił się jej awansowi, nie spodziewał się tego. Podczas regulacji Sanicy doszło nawet do parokrotnych starć między nimi. Nauczycielka pilnowała świadczeń i parę razy wytknęła Michałowskemu, że więcej mówi, niż robi. On zaś zarzucał jej kontakty z Seremakiem i Kozuchem. Nie radził zbyt anagażować się w „politykę”. Kiedy dowiedział się, że Chęcińska wstąpiła do partii, zrobił przyjaźnielską scenę jej ojcu. Po pierwszym poważniejszym konflikcie, który nastąpił z powodu pastucha, Michałowski zaszedł do szewca i upomniął go — „ustatkujcie córke, wiecie co macie mi do zawdzięczenia, gdyż inaczej z wami pogadam”. Pokazał przy tym szewcowi kartki z długiem.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała, że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności” Michałowskemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikolajczykowski, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym” w walce klasowej, w której zagrożony kulał przechodzi do kontrofensywy. Żadnego groza bogacz nie wyrzuca na „filantropię”. Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wysiłek społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach” całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą”. Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędnym”. I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła” Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgłębienie ziemi nie pływały po malych stawach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na różne świadczenia dla szkoły, przywozić drzewo na opał, naprawić dach, ale nie w tym rzecz. Można by to nazwać dalekowzrocznością polityczną bogaczy. „Zwycięstwo nad Sanicą” pozwoliło Michałowskemu i spółce na realizację dalszego etapu, mimo że we wsi następowały niedobre dla nich zmiany.

W gminie wójtem został chłop malarz, Kozuch, do gminnej rady narodowej wchodził sam mało i średniorolni chłopcy, sołtysami byli w przeważnej części dawni odrodnicy Michałowskich, Boguckich, Kozarów. W 46 r. jeszcze śmieszili bogaczy wiejskich „urzędnicy, którzy przed wojną koze odsładywali”. Kiedy jednak sołtys Nowej Wsi Kowalec zagroził publicznie Michałowskemu, że w wypadku ukrywania swoich dochodów (bogacz chciał „zatatwić” w gminie uznanie trzech hektarów za nieużytki) pójdzie zapoznać się z tą samą kozą, do której przed wojną zamykał innych, kiedy tu i ówdzie partia zaczęła ukrać bogaczy — ci jakby oprzytomnieli. Zmienili też i taktikę walki.

Szkola wydawała się Michałowskemu i innym bogatym chłopom tą instytucją, którą należało przede wszystkim opanować. Grono pedagogiczne nie wydawało się bogaczom zbyt trudną pozycją do zdobycia. Kierownikiem był stary nauczyciel, który „zasadniczo nie mieszał się do polityki”.

Dwie nauczycielki również stały na gruncie „lojalności”. Jedynie tow. Chęcińska budziła pewien niepokój w bogaczach. Michałowski jednak uśmiechał się drwiąco: — da się radę! Nie takie przeszkody omijałismy? Wiedział, że nauczycielka ma w domu stale kłopoty z ojcem i matką. Rodzice wyrzucali jej „odszerzenie”, przepowiadali kłeskę. Upojony był przy tym sukcesem z Sanicą. Młyn już zaczął zwracać wkłady.

Michałowski początkowo pobliżi-

wie odnosił się do nowej nauczycielki, sam dziwił się jej awansowi, nie spodziewał się tego. Podczas regulacji Sanicy doszło nawet do parokrotnych starć między nimi. Nauczycielka pilnowała świadczeń i parę razy wytknęła Michałowskemu, że więcej mówi, niż robi. On zaś zarzucał jej kontakty z Seremakiem i Kozuchem. Nie radził zbyt anagażować się w „politykę”. Kiedy dowiedział się, że Chęcińska wstąpiła do partii, zrobił przyjaźnielską scenę jej ojcu. Po pierwszym poważniejszym konflikcie, który nastąpił z powodu pastucha, Michałowski zaszedł do szewca i upomniął go — „ustatkujcie córke, wiecie co macie mi do zawdzięczenia, gdyż inaczej z wami pogadam”. Pokazał przy tym szewcowi kartki z długiem.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała, że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności” Michałowskemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikolajczykowski, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym” w walce klasowej, w której zagrożony kulał przechodzi do kontrofensywy. Żadnego groza bogacz nie wyrzuca na „filantropię”. Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wysiłek społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach” całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą”. Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędnym”. I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła” Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgłębienie ziemi nie pływały po malych stawach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na różne świadczenia dla szkoły, przywozić drzewo na opał, naprawić dach, ale nie w tym rzecz. Można by to nazwać dalekowzrocznością polityczną bogaczy. „Zwycięstwo nad Sanicą” pozwoliło Michałowskemu i spółce na realizację dalszego etapu, mimo że we wsi następowały niedobre dla nich zmiany.

W gminie wójtem został chłop malarz, Kozuch, do gminnej rady narodowej wchodził sam mało i średniorolni chłopcy, sołtysami byli w przeważnej części dawni odrodnicy Michałowskich, Boguckich, Kozarów. W 46 r. jeszcze śmieszili bogaczy wiejskich „urzędnicy, którzy przed wojną koze odsładywali”. Kiedy jednak sołtys Nowej Wsi Kowalec zagroził publicznie Michałowskemu, że w wypadku ukrywania swoich dochodów (bogacz chciał „zatatwić” w gminie uznanie trzech hektarów za nieużytki) pójdzie zapoznać się z tą samą kozą, do której przed wojną zamykał innych, kiedy tu i ówdzie partia zaczęła ukrać bogaczy — ci jakby oprzytomnieli. Zmienili też i taktikę walki.

Szkola wydawała się Michałowskemu i innym bogatym chłopom tą instytucją, którą należało przede wszystkim opanować. Grono pedagogiczne nie wydawało się bogaczom zbyt trudną pozycją do zdobycia. Kierownikiem był stary nauczyciel, który „zasadniczo nie mieszał się do polityki”.

Dwie nauczycielki również stały na gruncie „lojalności”. Jedynie tow. Chęcińska budziła pewien niepokój w bogaczach. Michałowski jednak uśmiechał się drwiąco: — da się radę! Nie takie przeszkody omijałismy? Wiedział, że nauczycielka ma w domu stale kłopoty z ojcem i matką. Rodzice wyrzucali jej „odszerzenie”, przepowiadali kłeskę. Upojony był przy tym sukcesem z Sanicą. Młyn już zaczął zwracać wkłady.

Michałowski początkowo pobliżi-

wie odnosił się do nowej nauczycielki, sam dziwił się jej awansowi, nie spodziewał się tego. Podczas regulacji Sanicy doszło nawet do parokrotnych starć między nimi. Nauczycielka pilnowała świadczeń i parę razy wytknęła Michałowskemu, że więcej mówi, niż robi. On zaś zarzucał jej kontakty z Seremakiem i Kozuchem. Nie radził zbyt anagażować się w „politykę”. Kiedy dowiedział się, że Chęcińska wstąpiła do partii, zrobił przyjaźnielską scenę jej ojcu. Po pierwszym poważniejszym konflikcie, który nastąpił z powodu pastucha, Michałowski zaszedł do szewca i upomniął go — „ustatkujcie córke, wiecie co macie mi do zawdzięczenia, gdyż inaczej z wami pogadam”. Pokazał przy tym szewcowi kartki z długiem.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała, że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności” Michałowskemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikolajczykowski, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym” w walce klasowej, w której zagrożony kulał przechodzi do kontrofensywy. Żadnego groza bogacz nie wyrzuca na „filantropię”. Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wysiłek społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach” całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą”. Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędnym”. I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła” Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgłębienie ziemi nie pływały po malych stawach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na różne świadczenia dla szkoły, przywozić drzewo na opał, naprawić dach, ale nie w tym rzecz. Można by to nazwać dalekowzrocznością polityczną bogaczy. „Zwycięstwo nad Sanicą” pozwoliło Michałowskemu i spółce na realizację dalszego etapu, mimo że we wsi następowały niedobre dla nich zmiany.

W gminie wójtem został chłop malarz, Kozuch, do gminnej rady narodowej wchodził sam mało i średniorolni chłopcy, sołtysami byli w przeważnej części dawni odrodnicy Michałowskich, Boguckich, Kozarów. W 46 r. jeszcze śmieszili bogaczy wiejskich „urzędnicy, którzy przed wojną koze odsładywali”. Kiedy jednak sołtys Nowej Wsi Kowalec zagroził publicznie Michałowskemu, że w wypadku ukrywania swoich dochodów (bogacz chciał „zatatwić” w gminie uznanie trzech hektarów za nieużytki) pójdzie zapoznać się z tą samą kozą, do której przed wojną zamykał innych, kiedy tu i ówdzie partia zaczęła ukrać bogaczy — ci jakby oprzytomnieli. Zmienili też i taktikę walki.

Szkola wydawała się Michałowskemu i innym bogatym chłopom tą instytucją, którą należało przede wszystkim opanować. Grono pedagogiczne nie wydawało się bogaczom zbyt trudną pozycją do zdobycia. Kierownikiem był stary nauczyciel, który „zasadniczo nie mieszał się do polityki”.

Dwie nauczycielki również stały na gruncie „lojalności”. Jedynie tow. Chęcińska budziła pewien niepokój w bogaczach. Michałowski jednak uśmiechał się drwiąco: — da się radę! Nie takie przeszkody omijałismy? Wiedział, że nauczycielka ma w domu stale kłopoty z ojcem i matką. Rodzice wyrzucali jej „odszerzenie”, przepowiadali kłeskę. Upojony był przy tym sukcesem z Sanicą. Młyn już zaczął zwracać wkłady.

Michałowski początkowo pobliżi-

wie odnosił się do nowej nauczycielki, sam dziwił się jej awansowi, nie spodziewał się tego. Podczas regulacji Sanicy doszło nawet do parokrotnych starć między nimi. Nauczycielka pilnowała świadczeń i parę razy wytknęła Michałowskemu, że więcej mówi, niż robi. On zaś zarzucał jej kontakty z Seremakiem i Kozuchem. Nie radził zbyt anagażować się w „politykę”. Kiedy dowiedział się, że Chęcińska wstąpiła do partii, zrobił przyjaźnielską scenę jej ojcu. Po pierwszym poważniejszym konflikcie, który nastąpił z powodu pastucha, Michałowski zaszedł do szewca i upomniął go — „ustatkujcie córke, wiecie co macie mi do zawdzięczenia, gdyż inaczej z wami pogadam”. Pokazał przy tym szewcowi kartki z długiem.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała, że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności” Michałowskemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikolajczykowski, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym” w walce klasowej, w której zagrożony kulał przechodzi do kontrofensywy. Żadnego groza bogacz nie wyrzuca na „filantropię”. Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wysiłek społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach” całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą”. Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędnym”. I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła” Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgłębienie ziemi nie pływały po malych stawach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na różne świadczenia dla szkoły, przywozić drzewo na opał, naprawić dach, ale nie w tym rzecz. Można by to nazwać dalekowzrocznością polityczną bogaczy. „Zwycięstwo nad Sanicą” pozwoliło Michałowskemu i spółce na realizację dalszego etapu, mimo że we wsi następowały niedobre dla nich zmiany.

W gminie wójtem został chłop malarz, Kozuch, do gminnej rady narodowej wchodził sam mało i średniorolni chłopcy, sołtysami byli w przeważnej części dawni odrodnicy Michałowskich, Boguckich, Kozarów. W 46 r. jeszcze śmieszili bogaczy wiejskich „urzędnicy, którzy przed wojną koze odsładywali”. Kiedy jednak sołtys Nowej Wsi Kowalec zagroził publicznie Michałowskemu, że w wypadku ukrywania swoich dochodów (bogacz chciał „zatatwić” w gminie uznanie trzech hektarów za nieużytki) pójdzie zapoznać się z tą samą kozą, do której przed wojną zamykał innych, kiedy tu i ówdzie partia zaczęła ukrać bogaczy — ci jakby oprzytomnieli. Zmienili też i taktikę walki.

Szkola wydawała się Michałowskemu i innym bogatym chłopom tą instytucją, którą należało przede wszystkim opanować. Grono pedagogiczne nie wydawało się bogaczom zbyt trudną pozycją do zdobycia. Kierownikiem był stary nauczyciel, który „zasadniczo nie mieszał się do polityki”.

Dwie nauczycielki również stały na gruncie „lojalności”. Jedynie tow. Chęcińska budziła pewien niepokój w bogaczach. Michałowski jednak uśmiechał się drwiąco: — da się radę! Nie takie przeszkody omijałismy? Wiedział, że nauczycielka ma w domu stale kłopoty z ojcem i matką. Rodzice wyrzucali jej „odszerzenie”, przepowiadali kłeskę. Upojony był przy tym sukcesem z Sanicą. Młyn już zaczął zwracać wkłady.

Michałowski początkowo pobliżi-

wie odnosił się do nowej nauczycielki, sam dziwił się jej awansowi, nie spodziewał się tego. Podczas regulacji Sanicy doszło nawet do parokrotnych starć między nimi. Nauczycielka pilnowała świadczeń i parę razy wytknęła Michałowskemu, że więcej mówi, niż robi. On zaś zarzucał jej kontakty z Seremakiem i Kozuchem. Nie radził zbyt anagażować się w „politykę”. Kiedy dowiedział się, że Chęcińska wstąpiła do partii, zrobił przyjaźnielską scenę jej ojcu. Po pierwszym poważniejszym konflikcie, który nastąpił z powodu pastucha, Michałowski zaszedł do szewca i upomniął go — „ustatkujcie córke, wiecie co macie mi do zawdzięczenia, gdyż inaczej z wami pogadam”. Pokazał przy tym szewcowi kartki z długiem.

W notatkach, jakie nauczycielka dorywczo prowadziła w związku z jej pracami, zapisała, że na zebraniu czuła się skrzywdzona opinią Seremaka. Tow. sekretarz określił jej stanowisko z okresu walki o uregulowanie Sanicy jako „spłatę długu wdzięczności” Michałowskemu. Czy tow. Chęcińska rozumiała już wtedy, że jej życiorys mówi co innego — mianowicie, że to Michałowski jak w banku przez całe lata składał w nich kapitał, który teraz chce eksploatować? Wejście Michałowskiego do komitetu szkolnego nie da się wytłumaczyć bez analizy okresu mikolajczykowski, a nawet wcześniejszego. Przykład Sanicy udowodnił, że bogacze nigdy i nigdzie nie robią wkładów bezcelowo. Świadczenia społeczne umacniają bogaczy. Przed wojną świadczenia te były legitymacją społecznika. Dziś są perfidnym „funduszem wojennym” w walce klasowej, w której zagrożony kulał przechodzi do kontrofensywy. Żadnego groza bogacz nie wyrzuca na „filantropię”. Filantropia w tym wypadku osiąga nie tylko jednostkowy wysiłek społeczny, ale propagandowy „wiatr w głowach” całej klasy biedniaków. Bogacz staje się „dobroczyńcą”. Rośnie w honorze, autorytecie. Staje się „niezbędnym”. I ten splendor umacnia jego pozycję wyzyskiwacza, zamazując jednocześnie różnice klasowe. Umacnia w świadomości gromady starą drogę.

Ten błąd popełniła właśnie nauczycielka. Jako jedyny członek partii w gronie nauczycielskim nie „odkryła” Michałowskiego. Nad Sanicą nie unosiły już się trujące opary, zgłębienie ziemi nie pływały po malych stawach, ale Seremak powiadał, że rzeka wciąż niesie ze sobą truciznę. Ten sam Michałowski, bogacz, wszedł od dawna do komitetu szkolnego. Nie miał dzieci w szkole, ale wszedł. Mógł sobie oczywiście pozwolić na

Kazimierz Kąkol

Socjalistyczna dyscyplina pracy

Zagadnienie socjalistycznej dyscypliny pracy stanowi część problematyki społecznej naszych czasów. Najbardziej ogólna treść tej problematyki, to konieczność podejmowania i przeprowadzania szeroko zakrojonych zmian w procesach produkcji, które ukształtują nową świadomość obywateli państwa socjalistycznego.

Ustawiczny wzrost produkcji towarzyszy pochodowi socjalizmu. Ale jeśli plany nasze przewidują, że produkcja przemysłowa wzrośnie w ciągu lat sześciu dwukrotnie w stosunku do roku 1949, a produkcja rolna o ponad 40% — to należy sobie dokładnie zdawać sprawę z tego, że realizacja tych planów zależy i od tego, czy wykwalifikowany pracownik jest właściwie ustawiony wewnątrz aparatu produkcyjnego; czy załoga fabryki, kopalni, instytucji — żyje jej życiem, czuje się gospodarzem zakładu, jest dokładnie obeznana z jego problematyką; czy stosunek do pracy jest stosunkiem so-

cialistycznym, czy wykazuje cechy, jakimi odznaczać się winna praca „na swoim” i „dla siebie”, czy praca stała się istotnie sprawą honoru i czci każdego obywatela.

Zagadnienie dyscypliny pracy nie jest jedynym zagadnieniem wynikającym z przebiegu wydarzeń na froncie gospodarczym. Nie da się ono oddzielić od problemu płynności kadr i racjonalnej gospodarki. Pracownikami wykwalifikowanymi.

Wszystkie one są problemami dzisiaj — w warunkach socjalistycznej gospodarki; nie były nim wczoraj — w ustroju kapitalistycznym.

W gospodarce kapitalistycznej wstrząsanej ustawicznie kryzysami ekonomicznymi, wykazującą trwałe niedopasowanie liczby rak sięgających po pracę do liczby stanowisk roboczych, stojących do ich dyspozycji — nie było miejsca na dbałość o racjonalne rozmieszczenie i dobór sił fachowych.

Groźba braku pracy, niedza setek tysięcy bezrobotnych, wymuszała

bezduszną dyscyplinę, skłaniała do milczenia nawet w przypadkach jawnych nadużyć ze strony pracodawcy, narzucała pracownikowi konieczność kurczowego trzymania się miejsca zatrudnienia.

Z drugiej zaś strony brak pracy skłaniał bezrobotnego do poszukiwania wszelkich dostępnych zajęć; nie kryterium fachowości, przygotowania zawodowego, decydowało o wzięciu się z warsztatem pracy, lecz istnienie pewnych luzów na rynku pracy, dających szansę zdobycia zatrudnienia.

Zagadnienie planowej gospodarki siłami fachowymi pojawiło się wraz z zapoczątkowaniem socjalistycznego budownictwa.

Gigantyczne wędrowki ludności rolnej do pracy w zakładach przemysłowych, kolosalny wzrost liczby kobiet zatrudnionych w przemyśle, miliony nowych, wykwalifikowanych pracowników, opanowujących technikę — tylko przy konsekwentnie realizowanym planie było możliwe zaplanowanie nad tymi procesami.

Srodki zaradcze, jakie zastosowano w ZSRR, były różnorodne; podjęto

tych, którzy na to szczególnie zasługują.

20.I.1950 r. Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów ustalił zasady gospodarki Funduszem Socjalnym, zapewniając Radzie Zakładowej możliwość wydawania dyspozycji, mających na celu jak najbardziej właściwe zaspokajanie potrzeb pracowników.

4.II.1950 r. Sejm uchwalił ustawę o utworzeniu Społecznej Inspekcji Pracy; daje ona samym zainteresowanym uprawnienia do kształtowania warunków pracy w zakładach, pozwala wzmocnić kontrolę nad przestrzeganiem przepisów ustawodawstwa pracy, podnieść stan bezpieczeństwa i higieny pracy, nasilić walkę z chorobami zawodowymi.

4.II.1950 r. uchwalona została ustawa o Funduszu Zakładowym, przeznaczonym na ponadplanowe inwestycje kulturalne i socjalne, na ponadplanowe budownictwo mieszkaniowe, służące potrzebom załogi przedsiębiorstwa, na zasilenie budżetu wydatków socjalnych, na indywidualne wynagradzanie wyróżniających się pracowników. Fundusz Zakładowy jest formą udziału załogi w zyskach przedsiębiorstwa — w zyskach planowanych i ponadplanowych, jego rozmiary zależne są od rezultatów pracy załogi, jako całości, nie wystarczą indywidualne osiągnięcia przodowników pracy — konieczna jest wysoka przeciętna wydajność zespołu; lekceważenie pracy przez część jego członków może stanowić zaporę na drodze do uzyskania Funduszu.

20.III.1950 r. wprowadzone zostały zmiany w zakresie ustawodawstwa urlopowego. Przedłużono czasokresy urlopowe dla robotników, zlecając jednocześnie Radzie Ministrów wprowadzenie dodatkowych urlopów dla ciężko pracujących. Podobnie jak w przypadku Karty Górniczej oznacza to zerwanie z normami niedopasowanymi do życia; przy pomocy specjalnych świadczeń, przywilejów zwiększa się atrakcyjność pewnych zawodów, neutralizuje się zło ich strony, premiując się pracowników, zatrudnionych przez dłuższy okres czasu w jednym zakładzie pracy.

Rezultaty wzrostu produkcji są obecnie najbardziej bezpośrednio odczuwane przez każdego pracownika, ma on możliwość podejmowania działań, które rezultaty te spotęgują. Stanowi to zachętę do respektowania zasad organizacji i dyscypliny pracy.

Jeżeli w tej sytuacji znajdują się tacy, którzy korzystając z dóbr wygospodarowanych przez zbiorowość

nie są skłonni podporządkować się moralnym prawom, rządzącym życiem tej zbiorowości, to całkowicie słuszne jest sięgnięcie po argumenty innego rodzaju.

Ustawy o socjalistycznej dyscyplinie pracy i zapobieganiu płynności kadr przychodzą z pomocą związkom zawodowym w ich pracy wychowawczej. O pomoc tę związków same poprosiły. III Plenum CRZZ doszło do wniosku, że „koniecznym staje się odpowiedni akt prawodawczy, który by w sposób zasadniczy rozwiązywał problem całkowitej likwidacji nieusprawiedliwionej absencji”.

Rosnące potrzeby gospodarki socjalistycznej wymagają prowadzenia planowej polityki w dziedzinie zatrudniania nowych, kwalifikowanych kadr, wymagają także kadr trwale związanych z zakładami pracy; w oparciu o ustawy z 7.III.1950 r. potrzeby te zostaną zaspokojone.

Absolwenci szkół zawodowych i szkół wyższych, którzy zdobyli wiedzę fachową dzięki wysiłkowi całego społeczeństwa, przeznaczającego ogromne sumy na ich szkolenie, będą zatrudniani tam, gdzie ze względu na interes społeczny są najbardziej potrzebni.

Pracownicy posiadający szczególnie

cenne kwalifikacje zawodowe, nie mogą w niektórych przypadkach porzucić dotychczasowego miejsca pracy.

Wszyscy zawodowo czynni mają obowiązek przestrzegania zasad dyscypliny. Łazikowanie i opuszczanie pracy bez powodu może się stać poważnym problemem gospodarczym: utrata kilku milionów dniówek roboczych, bez dostatecznych ku temu powodów, zagraża realizacji planów produkcyjnych, dezorganizuje pracę, obniża ogólny poziom zarobków. Trzeba było położyć kres temu zjawisku.

Ustawa z 19.IV.1950 r. ma wyraźny charakter wychowawczy: przewiduje kary za nieprzestrzeganie zasad dyscypliny, ale także nagrody za pozostawanie z nimi w zgodzie: stopniuje kary, w zależności od rodzaju przewinienia; opana wyrokowanie na opinii towarzyszy pracy; otwiera drogę powrotu dla tych wszystkich, którzy chcą porzucić niewłaściwe szlaki.

Ustawa kończy pewien etap procesu socjalistycznego wychowania i zapoczątkowuje nowy. Dodatkowe rezultaty tego procesu warunkują dalszy rozwój gospodarczy. Stąd ich przełomowe znaczenie.

Kazimierz Kąkol

Stanisław Cieślak

Przyjaźń polsko-niemiecka

WALCZĄC o pogłębienie przyjaźni polsko-niemieckiej trzeba pamiętać, że ta sprawa stała się, wskutek swej ważności, dziedziną wzmożonej działalności wroga klasowego. Zarówno zagranicą jak i krajową propaganda reakcyjna dokłada wszelkich wysiłków, aby tą przyjaźń podważyć i osłabić. Ułubionym chwyttem tej wrogiej propagandy jest poddawanie w wątpliwość trwałości umów polsko-niemieckich przy pomocy różnych idealistycznych wykładow w rodzaju pytania: czy można ufać tak szybkiej przemianie „psychiki” (???) narodu niemieckiego, którego przecież „odwieczną” (???) cechą jest zaborczość.

Pogląd o „odwiecznej” zaborczości Niemców jest nonsensem historycznym. Drapieżność i zaborczość w stosunku do sąsiadów jest znaną cechą wszystkich społeczeństw antagonyzujących o klasowej strukturze społecznej, a nasilenie zaborczej polityki wiąże się zawsze z narastaniem walki klasowej w tych społeczeństwach i stanowi odbicie wzmożonego ucisku i wyzysku wewnątrz społeczeństwa.

Polityka ekspansji nie wynika z „odwiecznych” cech narodu” (bo takich nie ma), ale z układu stosunków społeczno-gospodarczych, stanowiąc ich ideologiczną nadbudowę. Polityka brutalnej przemocy i ekspansji prowadząca do ludobójstwa osiąga największe nasilenie w tych epokach historycznych, w których walka klasowa dochodzi do zenitu, towarzyszy więc zwłaszczce ustrojowi kapitalistycznemu w jego schyłkowym już okresie kapitalizmu. Wyrazem jej jest międzynarodowy faszyzm, zjawisko historyczne o zasięgu międzynarodowym, tak jak międzynarodowy jest i kapitalizm, jednakowo drapieżny, cyniczny i okrutny w swej niemieckiej, włoskiej, japońskiej, polskiej, hiszpańskiej czy amerykańskiej postaci. Najbardziej brutalny terror wewnętrzny a na zewnątrz imperialistyczna zaborczość wydaje się bowiem kapitalistom (w okresie bezpośrednio poprzedzającym upadek ich władzy) jedynym środkiem zabezpieczenia ich eksploatorskich, klasowych interesów. Polityka przemocy stosowana przez faszyzm w jego różnych odmianach często uzupelniana jest polityką układów i chwilowych paktów o nieagresji czy układami o „wzajemnej pomocy”, dość przytoczyć pakt Berlin — Tokio — Rzym, układ Beck — Ribbentrop czy ostatni pakt atlantycki.

Nie wolno zatem utożsamiać narodu niemieckiego z hitleryzmem. Wielkość i doniosłość zawartych niedawno umów polsko-niemieckich dla mas pracujących obu narodów i dla sprawy pokoju i postępu na całym świecie wyraźnie trzeba na nie analizy międzynarodowego faszyzmu, tego największego w historii oszustwa, przy pomocy którego z chłopów i z robotników (nie tylko zresztą niemieckich), uczyniono bezwolne narzędzie ludobójczej polityki międzynarodowej (nie tylko zresztą niemieckiego) kapitału.

Rozważając zasadniczy zwrot, jaki się dokonał w stosunkach między Polską a Niemiec Republiką Demokratyczną należy podkreślić, że trwałość nawiązanych stosunków przyjaźni opiera się na mocnych podstawach. Siłę ich stanowi nie tylko fakt, że kierownictwo Niemieckiej Republiki Demokratycznej spoczywa w rękach ludzi, do których można mieć całkowite zaufanie, bo przez całe swe życie walczyli o socjalizm, a więc o ogólnoludzką ideę sprawiedliwości, wolności i braterstwa narodów. Trwałość przyjaźni polsko-niemieckiej gwarantuje przede wszystkim ta sama w swej istocie przebudowa stosunków społecznych i gospodarczych w kierunku socjalizmu dokonująca się w Polsce i w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Na bazie bowiem tego nowego ustroju wyrasta po obu stronach granicy, nowa świadomość, wolna od nacjonalizmu i zaborczości i dlatego to masy pracujące obu narodów polskiego i niemieckiego podają dziś sobie dłonie.

„Dla narodu polskiego — pisał w swym liście do Prezydenta Wilhelma Piecka Prezydent Bolesław Berut — „szczególnie cenną i ważną jest świadomość, że Delegacja Rządowa, którą gościliśmy w naszym kraju, reprezentowała produkującą, postępującą siłę narodu niemieckiego i jego klasy robotniczej skupione we Froncie Narodowym Demokratycznych Niemiec

Właśnie dzięki wyzwoleniu tych sił potrafiliśmy otworzyć nową, nieznana dotychczas w historii stosunków polsko-niemieckich kartę.

Wyzwoliło te siły zwycięstwo Związku Radzieckiego nad hitleryzmem, stworzyło warunki dla ich rozwoju i tym samym zbudowało trwałą podstawę nowego, pokojowego i przyjaźnego współżycia między naszymi narodami. Wzrost sił i świadomości niemieckiej klasy robotniczej, codzienna walka Socjalistycznej Partii Jedności, na czele wszystkich demokratycznych sił narodu niemieckiego, z szowinizmem, rewizjonizmem, z podżegaczami wojennymi o pokój i demokrację — oto czynniki, które pozwoliły naszym narodom usunąć wiekowy posiew nienawiści, a z granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, uczynić granicę pokoju, sąsiedzkiego współżycia i przyjaźni”.

Te same najistotniejsze podstawy przyjaźni polsko-niemieckiej podkreślone zostały i w odpowiedzi Prezydenta Piecka, kiedy pisał, że to porozumienie jest „wyrazem tej nowej, opartej na mocnych podstawach przyjaźni niemiecko-polskiej. Są one przekonującym dowodem tego, że w wielkim obozie pokoju, na czele którego stoi Związek Radziecki i jego Wielki Wódz Generalissimus Stalin, można kształtować stosunki między narodami w sposób nowy, pokojowy i przyjaźny nawet wówczas, gdy były one jądrowe przez moce przemoc. Widzę w tym ręką powołania naszej wspólnej walki o pokój i trwałość naszej współpracy”.

Pogłębiając przyjaźń polsko-niemiecką nie plynąć „pod prąd” historii. Wprost przeciwnie. W miarę bowiem nieuchronnego zwycięstwa socjalizmu w coraz to większej liczbie państw, w tym właśnie, a nie innym kierunku zmierzają będzie rozwój stosunków międzynarodowych.

Odwroćcie tego procesu, rozwijającego się z dziejową koniecznością, nie zdoła żadna siła na świecie. Wskiele ataki imperialistów i podżegaczy wojennych mogą ten proces tylko nieco opóźnić, z wielką szkodą dla interesów całej ludzkości, nie mogą go jednak zahamować. Od aktywności zaś mas pracujących na całym świecie zależy przyspieszenie tego procesu i wyprowadzenie całej ludzkości z więzienia kapitalizmu na drogę prowadzącą do stałego pokoju światowego.

Oświadczenie rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zawarte z nim umowy, entuzjazm z jakim te umowy przyjęte zostały przez masy pracujące Niemiec, coraz serdeczniejsze i przyjaźniejsze kontakty polskie z postępową młodzieżą niemiecką z postępowymi pisarzami i artystami Niemiec Ludowych itp. fakty świadczą coraz dobitniej o tym, że „odwieczna zaborczość narodu niemieckiego” była mitem wymyślonym i wpajany w świadomość obu narodów przez klasę junkrów i kapitalistów niemieckich wspólnie z klasą polskich obszarów i kapitalistów. Ten mity był pomocniczym instrumentem w rzeczywiste zaborczej, ludobójczej i antypolskiej polityce prowadzonej nie przez naród niemiecki, ale przez junkrów i kapitalistów niemieckich, wbrew interesom mas pracujących Niemiec.

Dlatego też po obu stronach granicy, a więc i u nas, zawarciu umów polsko-niemieckich, otwierających nową erę w stosunkach między tymi dwoma narodami, towarzyszyć musi wzmożona walka ideologiczna z tym mitem o „odwiecznej zaborczości narodu niemieckiego” i z wszelkimi przeżytkami nacjonalizmu i kosmopolityzmu, które, mimo, że i u nas i w Niemczech warunki ekonomiczno-społeczne uległy rewolucyjnym przemianom w kierunku socjalizmu, trwają jeszcze siłą bezwładu w świadomości obu narodów, w ich sztuce i literaturze, a nawet w obyczajach. Fakt, że oboz międzynarodowej reakcji dokłada wszelkich wysiłków, aby te zamierające mity i przeżytki ożywić, powinien być dodatkowym bodźcem w tej walce.

Pogłębianie i umacnianie przyjaźni między masami pracującymi Polski Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej leży w interesie obu narodów i jest bardzo ważnym odcinkiem szerokiego frontu walki o zwycięstwo postępu, sprawiedliwości i pokoju na całym świecie.

Stanisław Cieślak



O właściwym spożytkowaniu sił ludzkich, o racjonalnym gospodarowaniu nimi nie było mowy: młody człowiek, przygotowany do pracy w zawodzie, stawał się bezrobotnym, zanim jeszcze zaczął pracować; miliony chłopów stawali armią ludzi „zbędnych” — niewykorzystanych produkcyjnie; mówili się głośno o „nadprodukcji inteligencji”, podczas gdy wiele istotnych potrzeb nie było zaspokojonych; przy braku perspektyw rozwojowych nie było miejsca na troskę o kadry i o ich rozbudowę.

W gospodarce socjalistycznej sytuacja jest zasadniczo odmienna; postępujący rozwój życia gospodarczego, realizacja planów gospodarczych — doprowadziły do likwidacji bezrobocia, niedzi i głodu, zamiast nadmiaru rak roboczych, nie mogących znaleźć produkcyjnego zastosowania — odczuwa się ich brak, konieczność sięgnięcia do ukrytych rezerw pracy; postęp w zakresie warunków bytowania i pracy — traktor i żarówka na wsi — to zapotrzebowanie na lekarza, księgowego, mechanika — traktorzystę.

Wraz z usunięciem groźby bezrobocia zniknęła atmosfera bezdusznej dyscypliny, utrzymywanej w wyniku istnienia rezerwowej armii pracy — nie zniknęła jednak potrzeba dyscypliny, wprost przeciwnie wzrosła jeszcze ze względu na planowość i wzajemne powiązanie działań gospodarczych.

Wraz z likwidacją chronicznego nadmiaru rak roboczych zniknęła konieczność kurczowego trzymania się jednego miejsca zatrudnienia — spotęgowała się jednak, w związku z odczuwanym brakiem „sił” pracowników, potrzeba racjonalnej gospodarki nimi. Nieczym nieuzasadniona wędrowka z jednego zakładu pracy do drugiego, płynność kadr — może podważyć możliwość realizowania planów, podobnie jak niewłaściwe rozmieszczenie fachowców, brak ludzi przygotowanych zawodowo tam, gdzie są najbardziej potrzebni.

Problemy dyscypliny pracy, płynności kadr, planowej gospodarki siłami fachowymi — występują nie tylko w Polsce; jest to problematyka każdego systemu gospodarczego, który już usunął fundamenty dawnego ustroju, już daje pracę i chleb, ale w pełniejszym mierze może to czynić pod warunkiem likwidacji dawnych nawyków, pod warunkiem ukształtowania nowej postawy społecznej ludzi pracy.

W Związku Radzieckim można było obserwować przed wojną wydarzenia analogiczne do spotykanych dzisiaj u nas.

Płynność kadr osiągała pokaźne rozmiary. Przeciętna liczba przystąpienia do pracy wyrażona w odsetkach przeciętnej liczby zatrudnionych wynosiła (dane dla całego przemysłu) w roku 1928 — 100%, w r. 1930 — 176,4%, w r. 1932 — 127,1%, w r. 1934 — 100,5%.

Czasopismo radzieckie „Industria” notuje jeszcze w roku 1940 (26.VI) rażące przykłady braku dyscypliny pracy w wytwórni gumowej „Czerwony Trójkąt”, wykazując ich katastroficzne skutki gospodarcze.

Nieusprawiedliwiona nieobecność dziewczęciu tylko pracowników (z których pięciu odbywało poprzedniej nocy libację, a czterech opuściło pracę, spodziewając się po ewentualnym karnym zwolnieniu zdobyć korzystniejsze zatrudnienie) spowodowała zmniejszenie się dziennej produkcji o 4000 nar kaloszy

wytężoną akcją uświadamiającą; ukształtowanie systemu świadczeń socjalnych tak, że stanowił on zachętę do przestrzegania zasad właściwego stosunku do pracy. Konstrukcja norm plac, świadczeń, ubezpieczeń społecznych, uprawnień urlopowych, czasu pracy — dawała przywileje pracownikom zdyscyplinowanym; przy pomocy tych zabiegów starano się uczynić bardziej atrakcyjną pracę w tych gałęziach gospodarki, w których jest ona szczególnie ciężka i wyczerpująca. Przypomnę do karania tych, którzy naruszali świadomie i złośliwie dyscyplinę pracy, utrudniając pracę i innym. To wszystko na bazie wielkiej uświadamiającej pracy ideologiczno-politycznej dało spodziewane rezultaty.

Podobna kampania rozpoczęła się i u nas.

Związki zawodowe wysunęły sprawę socjalistycznego stosunku do pracy na czoło zagadnień, stanowiących przedmiot ich pracy polityczno-wychowawczej. II Kongres Związków Zawodowych powołał w tym zakresie zdecydowane uchwały: stwierdził, że „związki zawodowe winny wychowywać robotników i pracowników umysłowych w duchu świadomej dyscypliny pracy, w celu pełnego wykorzystania dnia roboczego”.

Kształtowanie socjalistycznego stosunku do pracy odbywa się przede wszystkim poprzez stawianie wzorców, dawanie dobrego przykładu. I jeżeli w kopalni „General Zawadzki” liczba przodowników pracy (wykonującej przeciętnie ponad 180% normy) przekracza 1.100, jeżeli w hucie „Batory” jest ich 600, jeżeli w zakładach im. Stalina w Poznaniu (dawniej Cegielski) przodowników pracy (takich, którzy trzykrotnie zajęli pierwsze miejsce we współzawodnictwie) jest 282 — to taki zakład staje się najlepszą szkołą socjalistycznego stosunku do pracy i dyscypliny socjalistycznej.

13.000 robotników na kierowniczych stanowiskach w przemyśle, awansy naszych przodowników pracy, obywateli wyniki szkolenia zawodowego — oto przykłady słusznej gospodarki kadrami, niejednokrotnie inicjującej przez ruch zawodowy.

Powołanie robotnika do spełniania funkcji współgospodarza zakładu pracy, danie mu wielkich uprawnień w zakresie zagadnień produkcyjnych — wytworzyło już dzisiaj rodzaj patriotyzmu zakładowego, zwiastując pracownika ściśle z jego miejscem pracy, skutecznie powstrzymało płynność kadr.

Ta wewnętrzna organiczna praca związków zawodowych dała także materialne efekty, że dzisiaj stać nas na przyjeździe z pomocą tej pracy zewnątrz.

Możliwa stała się ofensywa ustaw, dźwigających na wyższy poziom warunki pracy i bytowania.

Znamienny jest przebieg tej ofensywy.

30.XI.1949 r. zapadła uchwała Rady Ministrów w sprawie szczególnych przywilejów dla górników w górnictwie węglowym. Karta Górnicza przyniosła górnikom korzyści, które ze względu na warunki ich pracy oraz kluczową pozycję górnictwa w naszej gospodarce narodowej, oddawała im się należały. Stanowi ona wyraz zerwania ze schematyzmem świadczeń socjalnych, niejednokrotnie dotychczas niedopasowanych do potrzeb życia, premiując

Młoda Orzeszkowa

(dokończenie ze str. 3)

też rodzinę jego ratuje przed rozwojem dobrowolna ofiara arystokratycznej żony, która dużo skorzystała z okresu mieszczańskiej edukacji. Ta optymistyczna „Lalka” à rebours ma także zakończenie, które, by dalej snuć historyczno-literackie paradoksy, narzuca analogie z „Rodziną Połanieckich” Sienkiewicza. „Marynia” Iwicka także wraca do swego majątku rodzinnego, uratowanego przez męża. Spuścizna tradycji ziemiańskiego rodu obejmuje pasierbicę Marii — młodą mieszczańkę.

Instalacja rodziny Iwickich w Porzeźnie to najwyższe błogosławieństwo udzielone przez pisarkę sojuszu burżuazyjno-obszarniczemu, który montowała w swych powieściach z lat 1874-76, poprzez gloryfikację sklepu kolonialnego i przemierze obszarnika z pachciarzem. Trzeba przyznać, że nie obyło się to bez ofiar z jej strony. Znamienna jest droga, jaka wiodła od jej najwcześniejszych, pozytywnych bohaterów, apostołów nowego ładu: inżyniera z „Ostatniej miłości”, broniącego godności zawodu powoływaniem się na piramidy i „uprzedmiotowionego magnata” z „Pamiętnika Wacławy” — do kupca drzewnego Michała Iwickiego, zwiastującego na myśl o Schillerze i Beethovie. Była to niewątpliwie droga kapitalizmu wobec pracy mieszczańskiego życia, choć nie towarzyszyło jej oportunistyczne przymknięcie oczu na praktyki kapitalistycznego handlu, jakie cechuje stosunek Sienkiewicza do „Domu handlowo-komisowego Bigiel i Połaniecki”.

Właśnie sprawa rodziny mieszczańskiej w „Marii” mimo purytańskiej stylizacji ukazuje pewne poknięcia, które pozwolą wytłumaczyć fakt, że w późniejszej epoce, po załamaniu się optymistycznej oceny kapitalizmu, tak bezlitosnej rewizji podda Orzeszkowa cywilizację burżuazyjną.

„Na czym opiera się współczesna rodzina, rodzina burżuazyjna?”

Na kapitale, na dorobku prywatnym. Całkowicie rozwinięta, istnieje ona tylko dla burżuazji, ale jej uzupelnieniem jest przymusowy brak rodziny u proletariatu oraz prostytucja publiczna. (Manifest Komunistyczny).

„Całkowicie rozwinięta” rodzina Iwickich przegrana w „Marii” na jej mekce — ale jej utopii nie zasłonił fakt, że i Maria i Orzeszkowa dostrzegają biografie, pracowników „domu” i „przymusowy brak rodziny” na nizinach. A i „dorobek prywatny” Iwickich gra dużą rolę w rozterkach Marii.

„Stanał mi w myśli jeden z łączników, wiążących małżeństwa i rodziny: wspólność interesów. — Tak, idzie ona w parze ze wspólnością uczuć i żadne uniesienie poetyczne, żaden sofizm namietliwości nie zdoła zaprzeczyć jej miejsca wśród różnorodnych obowiązków i solidarności ludzkich!... dezercja moja pozostawia niszczące ślady nie tylko w dzie-

dzinie uczuć, ale echem jej są jeszcze ruina domu i krywdą dzieci!”

LATA ROZKWIITU I SCHYLEKU

Wszystkie powieści Orzeszkowej ze schyłku lat 70-tych, począwszy od „Marty”, stanowią z jednej strony podsumowanie ideologiczne wczesnego okresu jej twórczości i przyniosą niewątpliwie crescendo hasła pojednania ze światem kapitalizmu, z drugiej jednak — pogłębienie obserwacji świata, nasycenie powieściowej tendencji konkretnymi sytuacjami żywymi i ukazuje pokłębienie, zarysujące gmach kapitalistycznej szczęśliwości społecznej. Rysy bardzo jeszcze nieznaczące — sygnalizowane wewnętrzna niekonsekwencja sytuacji powieściowych lub ich utopijny charakterem wskazują jednak kierunek, w jakim pójście późniejszy rozwój pisarki. Szereg powieści tego czasu jest niewątpliwie próbą generalną późniejszych sformułowań „Pompaliński”, przy pogłębieniu analizy funkcji społecznych arystokracji — okazała się wprawka do „Pierwotnych”, szereg problemów „Elego Makowera” pojęciem na płaszczyźnie walki o prawa człowieka „Meir Ezołowicz”, „Rodzina Brochwiczów” traktować można jako szkice do „Nad Niemnem”.

W zasadzie jednak następny etap twórczości Orzeszkowej — szczytowy okres jej powieściopisarskiego rozwoju, który obejmuje lata 1878-88 i przyniesie najwybitniejsze utwory o „Meir Ezołowicz” po „Nad Niemnem”, — nie jest kontynuacją ideologicznych założeń pierwszego dziesięciolecia. Kończy się wówczas guwernerka Orzeszkowej w dziecinny pokój polskiej burżuazji. Pisarka przełamuje zakłętą koło spraw dworku i jego mieszczańskiej edukacji.

Dostrzega wówczas życie żydowskiego miasteczka, białoruskiej wsi, miejskich żańców i drobnozłachcekich żańców. Widzi nędzę i ciemnotę, krzywdę i poniżenie człowieka, rozumie mechanizm wielu zjawisk świata kapitalistycznego. Pojmuje do głębi sprawy prowincjonalnego miasteczka, a i wieś uzyskuje w jej twórczości brakujący dotychczas wymiar spraw chłopskich i czwororaczych.

W obronie człowieka cierpiącego nie tylko już wskutek przytyku starożytności, ale i wskutek drapieżności nowego napisała wówczas Orzeszkowa swe najpiękniejsze książki: „Meir Ezołowicz”, „Z różnych sfer”, „Niziny”, „Dziurawie”.

Maria Zmigrodzka

*) Fragment pracy o wczesnych powieściach Elżbiety Orzeszkowej przygotowanej na zlecenie Instytutu Badań Literackich.

Ryszard Przybylski

Powieść o Dekabrystach

1.

Jesliby Tyńianow traktował po-
stać tytułową swej powieści
jako pretekst do odświeżenia prawdy
czasów (B. Dudziński, „Czasy i
człowiek”, „Trybuna Ludu”, 19.IV.
1950), to musiałby się pokusić o
całkowite i wyczerpujące zobrazo-
wanie takiego zjawiska, jakim w
pierwszej połowie zeszłego stulecia
była rewolucja dekabrystów. Tyńianow
niewątpliwie przystąpił do
analizy tego zjawiska właśnie w
taki sposób. Jak potem zobaczymy
— wysiadł na przedostatniej stacji,
wyrządzając swej, zresztą świętej,
powieści wielką krzywdę. Zanim
jednak zaczniemy autorowi stawiać
zarzuty, oddajmy należną sprawie-
dliwość jego książce, która powstała
w r. 1925 i torowała drogi ra-
dzieckiej powieści biograficznej,
dziś świecącej ogólnoswiatowe
triunfy.

Epokę oddał znakomicie.

Wielki Hercen tak pisał o latach
trzydziestych wieku XIX w Rosji:
„Wszędzie różni... dworskich siek
w domu, siek w polcei, chłopów
siece pan, siece karbowy, siece
starosta, ludzie — rzeczy, ludzie —
zakłady, sprzedawane rodziny,
gwałcone kobiety, żołnierze zabici
pałkami”. Można to wszystko od-
nieść do czasów sprzed tragicznego
grudnia. Takimi samymi bowiem
metodami odpowiadał Arakcejew
na wzrost nastrojów rewolucyjnych
w społeczeństwie rosyjskim po roku
1820. U Tyńianowa oczywiście
wszystko to znajdziemy. Gdy Kūchel-
becker goscącej w majątku Grzego-
rza Andrejewicza Glinki wybrał się
pewnego razu na przechadzkę, zoba-
czył, jak sąsiad jego gospodarza, zoba-
czył, „przewiniem” obławiał chłopa
smola. Innego dnia karbowy
Glinki wymierzał kij starymu chłopa.
Wielki książę Konstanty porwał
pewną piękną Francuzkę do swego
pałacu, zaprosiłszy do siebie u-
przednio szwadron oficerów. Kiedy
indziej Kūchelbecker zemlał na wi-
dok kaźni, jakiej dokonywano pu-
blicznie na kółko żołnierzy.

Genealogię ruchu dekabrystów
podał Tyńianow mistrzowsko. Ja-
kubowicz, przymusowo przeniesiony
na Kaukaz, wykrzykuje: „Karbona-
rusze nie tworzą się sami — two-
rzy ich cesarz”. Naturalnie, ruch
wolnościowy nurtował nie tylko
wśród najlepszych przedstawicieli
inteligencji — szlacheckiej, którą
zdawali sobie sprawę z tego, iż feu-
dalny absolutyzm zdusił twórcze siły
narodu rosyjskiego i opóźnił
normalny ekonomiczny rozwój kra-
ju. Buntowały się także szerokie
masy ludowe.

Chłopi ze wsi Glinki wygarniali
Kūchli gorzką prawdę i słodką na-
dzieję. Tam też Wilhelm spotkał się
z rewolucyjną pieśnią ludową. Pa-
miętamy, co mówili Miszy Kūchel-
beckerowi petersburscy marynarze,
ta granatowa awangarda każdej ro-
syjskiej rewolucji. A bunt siemio-
nowskiego pułku?

Środowisko dekabrystów skreślił
Tyńianow prawdziwie i porywająco.
Ich chwile i niezdecydowa-
nie ideowe znalazły w powieści ar-
tystyczny wyraz i dokumentację.
Zwróćmy uwagę na to, jaką posta-
wę wobec rewolucji zajmują — ży-
jący tylko ze swego pióra szlachecy
inteligencji Kūchelbecker i Ryle-
jew, jaką — posiadacz ziemski, li-
berał, M. Turgeniew, a jaką —
autor „Biedy z tym rozumem”, Gri-
bojedow. Wilhelm pragnie znieśienia
pańszczyzny i obalenia samowład-
stwa, ale właściwie nie bardzo wie,
dla kogo się to właściwie robi. Na-
wet programowa mowa M. Turgie-
niewa nie trafia do jego uszu. A
Turgeniew dość głośno wrzasnął,
że w ostateczności i tak „wszystko
zależeć będzie od szlachty”. Ryle-
jew gryzł wargi w bezsilnej złości;
Gribojedow, który do dnia przewrót-
nej epoki, patrzył na zacięte pięści
twórcy „Wojnowskiego” i słucha-
jąc wykładów Mikołaja Turgenie-
wa o kapitalistycznej Rosji, śmie-
chał się tajemniczo. Widząc, jak d-
m z fajki liberała przystania całkowi-
cie dopominającego się o prawa
mas Kucynica — parskali cicho.

Łączność tych najlepszych przed-
stawicieli szlachty z masami ludo-
wymi realnie nie istniała. Żołnierze
siemionowskiego pułku, chłopci Glin-
ki są podejrliwi — nie mówią
wszystkiego ani Kūchli ani Ryleje-
wowi. Nie można było przecież wie-
rzyć dostatnio ubranym szlachcom.
Rylejew w wigilię powstania wyce-
dził: „żadnego ustalonego planu”.
Rzeczowy Steingel biadał, że deka-
bryści nie mają czym działać. Spi-
skowcy wiedzieli, że są zdradzeni.
Mimo to i płomienny Rylejew i
zrównoważony Steingel i nie nie
wiedzący Kūchelbecker wychodzą na
Plac Senacki. Wysła tam zresztą
cała szlachetna Rosja, by zginać,
jak ginie przedwcześnie wykityły
pół od ataków mrozu. Potem przy-
szedł tragiczny finał Rylejew sko-
nał na szafocie. Kūchelbecker, Pus-
zczin i inni gnili na Syberii.

Tragedia. Pesymistyczna tragedia.
Na tym kończy Tyńianow analizę
ruchu dekabrystów.

Musimy przyznać, że tragizm Kū-
chelbeckera, jak zresztą w ogóle
tragizm całego tego pokolenia, ska-
cze nam do gardła. Rewolucyjna
młodzież niemiecka liczy na... cara.
Tak wyznaje Wilhelmowi mowa
członek Jugendbundu. Tyle bez-
silny ile porywczy Kūchla błąga
Jermolowa, aby ze swą kaukaską

armią szedł na odsiecz krwawej
Grecji. A Jermolow wieśsza i pali
walczących o swą wolność czezeń-
ców. W tragicznym dniu grudnia
na Placu Senackim żołnierze nie
rozumieją inteligentek okrzyków
na cześć konstytucji. Trzeba im tu-
maczyć, że konstytucja... to żona
Konstantego. Chłop wierzy święcie,
że car chce dobra, że to jeden Ara-
kcejew jest wszystkiemu winien. Był
to tragizm rewolucjonistów nie-
związanych z masami ludowymi, w
imię których podejmowali walkę.

2.

Tyńianow jak wspominałem, wy-
siadł na przedostatniej stacji o na-
zwie tragedia pesymistyczna. Pyta-
my: jak to się stało? Tyńianow
zdawał sobie przecież sprawę, że



Aleksander Puszkina

czytelnik od pisarza oczekuje pełne-
go wizerunku zagadnienia. W ostat-
nim rozdziale książki do zesłanego
na Syberię Kūchelbeckera dochodzą
wieści, że Puszkina zabito w poje-
dyńku, że Delwig umarł, że... Czy-
telnikowi ruch rewolucjonistów de-
kabrystów wydaje się zawieszony w
próżni. Czytelnik pyta: jakto? Dla-
czego do Kūchelbeckera nie doszły
wieści, że już w latach trzydzi-
stych Hercen i Bielinski podjęli
szkander dekabrystów? Zresztą, do
samego Kūchelbeckera wieści te mo-
gły nie dojść. Ale my wiemy, że nie
o tę jedną postać w książce chodzi.

Na stacji końcowej wysiadł już
przecież kiedys Lenin. W artykule
pod tytułem „Pamięci Hercena” tak
omówił on działalność dekabrystów:
„Widzimy, dokładnie trzy pokolenia
rosyjskiej rewolucji: szlachta i po-
siadacze, dekabryści, Hercen. Wskazy-
wał krąg rewolucjonistów. Byli oni
bardzo daleko od narodu. Ale spra-
wa ich nie przepadała. Dekabryści
rozbudzili Hercena. Hercen rozprze-
stawił agitację rewolucyjną”.
Ostatnia stacja, jak widzimy, uka-
zuje wspaniałe perspektywy rozwo-
ju ruchu rewolucyjnego.

Tyńianow ukończył podróż przed
wczesnie nie tylko ze zniechęcenia. Są
przyczyny, które go do tego zmusiły.
Leżą one w niezwykle słusznym
sposobie traktowania postaci tytu-
łowej. Mianowicie, uwagę naszą
skierowuje autor na przeżycia boha-
tera, na Kūchelbeckera — jednostkę
biopsychiczną, usuwając w cień Kū-
chelbeckera pisarza — jednostkę
społeczną. Pomaga mu w tym uprzy-
czywne bagatelizowanie dorobku
twórczego „Kūchli”. Oto wybrane
„ad hoc” dwa momenty tej sprawy.

Żukowski lekceważył sobie i kpił z
całej twórczości Wilhelma. Dlatego
Tyńianow nie ukazuje nam wy-
raźnie klasowego źródła tej niena-
wistości? I dalej: dlaczego Tyńianow
sugeruje pobłażliwy stosunek Pus-
zczina do twórczości Kūchelbeckera?
Skądinąd wiemy, że Puszkina wyso-
ko cenili działalność literacką na-
szego dekabrysty. Słaby poziom ar-
tystyczny poezji Kūchli nie roz-
grzesza Tyńianowa w żadnym wy-
padku, bo poezja nie była jedynym
terenem literackiej działalności
Wilhelma.

Załamanie się realistycznej linii
utworu spowodowane zostało przez
psychologiczne przerysowanie por-
tretu literackiego. W konsekwencji,
ustrój samowładcy nie tłumaczy Kū-
chelbeckera — pisarza, społecznika,
postać prawdziwej historycznej, o
której Orłow pisał, że „jest przy-
kładem wielkiego pisarza zniszczo-
nego samodzielnymi”. Czym
nieszczęśliwy Kūchelbecker — wymagi-
nowanego przez Tyńianowa, trochę
sentymentalnego i trochę postrzele-
nego nieszczęśliwego, nieszczęśliwego
psychicznie osobowość. Nie odczu-
wa się, że ginie walczący pisarz re-
wolucji.

Pisarza realiste obowiązują ujo-
mowanie zjawiska według zasad dia-
lektyki. Trzeba mieć szeroko otwar-
te oczy. Tyńianow swej podróży
nie przespał. Niewątpliwie, i my za
nim dostrzegaliśmy wiele rzeczy i
spraw przestępnionych drzewami,
które troskliwie posadzili burżu-
azyjni historycy. Należy więc żało-
wać tylko, że światopogląd nie po-
zwolił pisarzowi dostrzec wszyst-
kiego tego, co działo się na horyzon-
cie.

Ryszard Przybylski

*) Jurij Tyńianow, „Kūchla”.
Przełożyła Nadzieja Drucka. Prze-
kład wierszy: Anna Kamińska i
Jan Śpiewak. Warszawa, „Książka
i Wiedza”, 1949, str. 360.

Hanna Kirchner

Podróż dylizanssem

W bieżącym miesiącu upływa 80-
ta rocznica śmierci Karola Dickensa,
wielkiego angielskiego pisarza-reali-
sty. W licznych swych powieściach,
nasyconych humorem wysokiej kla-
sy, do dziś żywym warstwą, nie-
nawścią zia, miłością dla człowieka,
odtworzył on życie angielskiej klasy
średniej. „W doskonałe zarysowa-
nych i wymownych obrazach świata
odstąpił więcej prawdy politycznej i
społecznej niż wszyscy zawodowi po-
litycy, publicyści i moralisci razem
wzięci” (Karol Marks „Angielska
klasa średnia”).

W Polsce Ludowej dzieła wielkich
mieszczańskich realistów, którzy nie
odwracali się od życia, ale szli krok
w krok za nim i starali się głęboko
zrozumieć opisywaną rzeczywistość,
przeżywają szczególny renesans.

Najpopularniejszą książką Dicken-
sa był zawsze obok „Dawda Copper-
fielda” ulubiony przez młodych i sta-
rych „Klub Pickwicka”. Kochano te
książki i kochać się ją będzie zawsze
za wspaniały, doświadczonej dicken-
sowski humor, jakim jest przepojona.
Burzazajni badacze literatury
chcieli jednak widzieć w „Klubie
Pickwicka” wyłącznie beztróską hu-
moresek, ignorując wrodzonego dowci-
pu pisarza. Dziś nasz doświadczo-
ny czytelnik dojrzy więcej spraw w
tej książce. Poza arcydzielom humo-
ru, odkryje szerokie perspektywy by-
stro patrzącego na świat realisty.

„Klub Pickwicka” — pierwsze wiel-
kie dzieło młodego Dickensa — powstał
w roku 1836 w sposób dość o-
ryginalny. Firma wydawnicza Chapman
i Hall poleciła sławnemu karykatu-
ryście Seymour'owi wykonanie serii
obrazków, przedstawiających klub
amatorów-sportowców, skazanych na
wieczne niepowodzenia. Seymour w
miesiące później popełnił samobój-
stwo; ilustracje wykonał ostatecznie
Hablot Brown (tzw. „Phiz”). Proszony
o napisanie tekstu do ilustracji
powieściopisarz Whitehead polecił po-
czątkującego Dickensa. Dickens cały
plan zgrabnie przekształcił. Zatrzy-
mał pomysły klubu, lecz zmienił jego
charakter, a całą powieść osnuł na
tę perypetii czterech członków tegoż
klubu. Stanowią oni „komitet kore-
spondencyjny”, który zbowiwał się
przysłać sprawozdania donoszące o
sposrzeniach i przygodach.

Pomysł podróży dylizanssem dał
Dickensowi możliwość ukazania szerokiej
i barwnej panoramy postaci i sy-
tuacji społecznych. Dickens stanął
jednak w tej powieści na pozycjach
nie tyle łagodnego malarza obycz-
jów, ile przede wszystkim drapież-
nego lecz dobrze zakonspirowanego
satyryka. Ze złością wyrażała —
pożornie utwierdzając czytelników w
mniemaniu, jakże bohaterzy mają
sami o sobie — zdemaskował fałszy-
we pozory. Przedmiotem zjadliwej sa-
tyry stały się grzechy główne: sno-
bizm, obłuda i zarozumiałość. Pan
Pickwick i jego przyjaciele — mimo
dobrodusznego zastrzeżenia Dickens-
stanowią galerię sybarytów, próżni-
ków, głupkowatych, snobistycznych
pozerów. Prezes klubu pan Pickwick,
to stary, śmieszny tłuścioch, przede
wszystkim dwuznaczny moralnie, po-
dobnie zresztą jak i jego towarzysze.
W świetle głębokiej ironii prezentuje
Dickens posiedzenia klubu Pickwick-
a, z ambicjami — pożał się Boże —
intelektualnymi. Doniosłe odkrycia,
dotyczące teorii skoku żab w sta-
wach hamptendzkich czy znalezienie
starożytnego kamienia, doprowadza-
ją do stanu wrzenia cały świat
naukowy z udziałem akademii za-
granicznych — oto obraz karykatural-
nego życia naukowego w ramach
ustroju kapitalistycznego. Równie
rzekomo i oparte na bluffie są osią-
gnięcia poetyckie pana Snodgrassa;
podobnie rzecz się ma z wyczynami
sportowymi Nataniela Winkla.

W trakcie pouczającej podróży dy-
lizanssem Dickens konfrontuje te okazy
snobizmu z rozległą galerią typów
społecznych. Najliczniej reprezento-
wane jest drobnomieszczaństwo, po-
czynając od najwyżej stojących jego
przedstawicieli poprzez dependentów,
panie Bardell, Cluppins i Sanders, aż
do drobnomieszczańskich lumpów w
rodzaju Sama i jego kolegów — stu-
żących. Na kartach powieści poja-
wiają się także przedstawiciele ar-
ystokracji. Do tych Dickens ma nie-
zmienne ironiczny stosunek. Naj-
chętniej obnaża ich snobizm i kasto-
wą wyniosłość, a czasem wręcz ma-
luje ich — jak np. młodego lorda Mu-
tonhead z balu w Bath — jako pół-
głogów i zdegenerowanych krety-
nów.

Ale pan Werdle, właściciel ziemski,
cieszy się pełną sympatią Dickens-
a. Majątek starego gentelmana nie jest
wielką posiadłością landrady; kon-
takty towarzyskie pana Werdle ogra-
niczają się do środowiska mieszczań-
skiego. Opis uroków wiejskiego życia
w starym dworze jest jedną z nie-
wielu partii książki pozbawionych
zupełnie poczucia ironii. Autor z gło-
bokim rozczuleniem unosi się nad
zdrową i szczęśliwą atmosferą, panu-
jącą w tym domu, który uważa za
twardzie angielskości, starych, do-
brych cnót i obyczajów. Kominke-
o cicha przystań rodzinnego szczęścia,
patriarchalna struktura życia domo-
wego, „niewinne zabawy”, w istocie
dość piaskie, beznamiętne i niewyb-
redne — oto okazja do pełnego senty-
mentu uśmiechu wzruszenia.

Pan Pickwick i jego towarzysze
żyją z zasobnej renty. Ale pan Pick-
wick jest nie tylko rentierem. W
różnym mierze autor kreuje go na
„urzędową trąbę” drobnomieszcza-
ństwa, aczkolwiek „aniół w kama-
szach” spełnia te rolę znacznie dy-
skretniej niż redaktor Pott swoją

funkcję na balu pani Hunter. „Klub
Pickwicka” jest powieścią o „trzecim
stanie”. Przedstawiciele ziemiaństwa
i burżuazji gawitują tutaj ku dro-
bnomieszczaństwu, a stosunki między
ludźmi i konstrukcje ich losów zary-
sowane są z perspektywy drobnomie-
szańskiej wiedzy o świecie. Przy-
tym większość książki wypełnia wla-
ściwie studium tej własnej klasy so-
łecznej — inne, znajdujące się poza
zasiegiem doświadczeń życiowych dro-
bnomieszczaństwa, ukazane są tylko
migawkowo.

Dickens nie ogranicza się wyłąc-
nie do obserwacji obyczajowych. Szla-
ki dylizansowych podróży pana Pick-
wicka biega przeciw prądowi burżu-
azyjnej dylizansowej. Jedną z
tych poniżających podróży daje panu
Pickwickowi i jego towarzyszom moż-
ność uczestniczenia w wyborach w
miasteczku Eatanswill i obserwowania
zajadłej walki dwóch blaższych stron-
niczek: niebieskiej i żółtej. Pan
Pickwick jest bezstronny — prze-
cież w gruncie rzeczy obie czaciele
zwalczające się partie były dwiema
frakcjami tej samej burżuazji. Nie
dziwi nas tu zupełnie stoicyzm pana
Pickwicka.

Wybory w Eatanswill to jeden fra-
gment kapitalistycznej rzeczywistości.
Dalsze przygody pana Pickwicka
poczwają autorowi na ukazanie in-
nej jeszcze strony tego drapieżnego
świata. Dickens otwiera kolejno
drzwi do ciemnych, zatechłych kan-
celarii adwokatów, do wilgotnych
piwnic więzień za długi; także tam
obserwować tragicomiczne sceny na
sali rozpraw sądowych.

Więzienie za długi, podstępny pra-
wników, lotrostwa pana Jingle, walka
wyborcza, ponury obraz stosunków w
prasz burżuazyjnej to sprawy mie-
szające się w głównym nurcie powie-
ści. Ale są i takie o których Dickens
wspomina od niechcenia, wzmianku-
jąc na peryferiach jakiejś anegdoty.
Na przykład: „Muggleton jest mi-
astem starożytnym i lojalnym, łączą-
cym gorliwość dla zasad chrystiani-
zmu ze statym przywiązaniem do
ustaw handlowych. Na dowód tego
burmistrz, rada miejska i inni mie-
szkańcy w rozmaitych czasach przed-
stawili 68 petycji o zezwolenie na
sprzedaż beneficjów kościelnych, 66
petycji o wzbronięnie sprzedaży ulic-
nej w dniu niedzielnym, 142 petycji
o zniesienie handlu niewolnikami w
Ameryce i takąż samą ilość petycji
przeciw wszelkiemu mieszanu się
prawodawstwa do sprawy prześlado-
nia dzieci pracą w fabrykach angiel-
skich”. Owe dzieci, często nawet cze-
stoletnie, pracowały wówczas szcena-
ście do osiemnastu godzin dziennie
w warunkach dla dorosłego człowie-
ka zabójczych. Dopiero długotrwała
akcja klasy robotniczej wymusiła od
rządu ustawy o skróceniu dnia pracy,

załamuje. Już w połowie pierwszego
tomu pan Pickwick ulega w naszych
oczach gwałtownej przemianie. Staje
się to chwila, gdy filozof przesłaje
być tylko biernym spektatorem. Sta-
ry próżniak wysiada z dylizansu,
wplatając się w poślig za panem
Jingle i w momencie, gdy zaczyna
brać udział w dramacie pt. „Kapi-
talistyczna rzeczywistość”, urasta do
rol bohatera. Mądry sługa, Sam Wel-
ler, zaczyna sygnować z życzliwością
postępków swego pana — Pickwickowi
wyrastają anielskie skrzydła i blask
aureoli zaczyna promieniować z ty-
szej głowy.



Karol Dickens

Zacny filozof jest rentierem. Jest
to najniższej rażąca forma kapitału,
jedną z najbardziej pośrednich. Ale
pan Pickwick jest tymże pozmie „la-
godnym” kapitalista. Jego kantor
handlowy jest ogniwem pośrednim
między kapitałem przemysłowym a
jakąś Kompanią Wschodnio-Indyjską
i stanowi poważną pozycję w walce
o zdobywanie baz dla imperializmu
angielskiego w dalekich koloniach.
Tego to przedstawiciela kapitalistycz-
nego społeczeństwa pasuje Dickens
na obrońcę uciemiężonych. Don Ki-
chot był romantycznym, błędnym ry-
cerzem, który wybrał się na swej
Rosynance walczyć w obronie uci-
mionych. Błędny rycerz drobnomiesz-
czaństwa w epoce kapitalizmu, pan
Pickwick jeździ dylizanssem, nosi oku-
lary i jest po prostu korpulentnym
kucpem, ale również walczy z wia-
trakami. Dobroliwy „gubernator” po-
pada w kolizję z asystantami, uos-
biającymi skostniały, bezduszny eu-
biazm burżuazyjnego systemu praw-
nego. Nie jest to przecież konflikt
najbardziej typowy, najbardziej istot-
ny, podstawowy dla ustroju. Wiatrak
był uroczym przeciwnikiem,
prawdziwy wróg krył się gdzie in-

należą jeszcze do tych ideologów
drobnomieszczaństwa, którzy, nie
dostrzegając zasadniczego konfliktu
epoki kapitalizmu — sprzeczności
między społecznym charakterem pro-
dukcji a indywidualnym sposobem
przyswajania walczą z rzący-
mi nadużytkami ustroju. Z jego
wielkim odbiciem w dziedzinie oby-
czajowości, pragnie harmonizować
pracę najemną i kapitał. Zwalczał
oni takie wrzody na organizmie ka-
pitalistycznego społeczeństwa, jak
więzienie za długi, zły system praw-
ny, pracę dzieci, korupcję itd. Te
bowiem przejawy najdotkliwiej ude-
rzały drobnomieszczaństwa, sądził on
zatem, że w nich kryje się główne
źródło jego złej sytuacji życiowej.

Karol Dickens dostrzegał jasno
nędzę swej klasy, nie zamykał oczu
na współczesną rzeczywistość. Był
przerazony i wzruszony jej ponu-
rym obrazem — stąd nienawść z ja-
ką uderza w to, co wydaje mu się
tego stanu rzeczy przyczyną, stąd
głęboki humanizm jego utworów,
pełnionych miłością dla wszyst-
kich skrzywdzonych i poniżonych.

W powieści „Dziwny klient” czło-
wiek wtrącony do więzienia za długi,
w którym ginie mu z nędzą żona i
dziecko, mści się na ojeu żony, są-
dząc, że on był jedynym sprawcą
jego nieszczęścia. W „Klubie Pick-
wicka” tylko taka pojawia się rea-
kcja na postępujące spoletyzowanie
drobnomieszczaństwa. Dickens
nie umie jeszcze rozszyfrować rze-
czywistości, cofa się przed wycią-
gnięciem ostatecznych wniosków
z dokonanych spostrzeżeń. Stąd
tchórzliwa koncepcja powrotu do
patriarchalnych stosunków (Sam —
pan Pickwick; dom pana Wardle),
stąd apoteoza „czulego serca”. Wra-
ca mit „wesolej, starej Anglii ober-
z dylizansów, gdzie wszystkie przy-
gody kończą się dobrze, zły zostaje
ukarany, a dobro zwycięża”.

Pan Pickwick wychodzi z więzie-
nia za długi i czym prędzej o nim
zapomina; wszystkie kłopoty miłosne
jego przyjaciół kończą się pomyśln-
ym małżeństwem, a czcigodny pre-
zes klubu rentierów dożywa swoich
dni w szczęściu i spokoju. Powtarza
się model dworu pana Wardle.

Tylko panowie Dodson i Fogg ro-
bia dalej swoje. Jedyna nadzieja, że
„im więcej zarabia w ten sposób,
tym więcej będą chcieli zarabiać i
wskutek tego wpłacają się z czasem
w jakieś łajdactwo i zginą”. Na ra-
zie wszystko dzieje się po staremu.
Może to wina ich nikczemnego cha-
rakteru, może złego systemu praw-
nego, a może ten system wynikał...

Ale nie wymagamy zbyt wiele od
zaczętego pana Dickens-
a.

Hanna Kirchner

SPROSTOWANIE

W artykule Józefa Kelery „Droga
Jorge Amado” („Wieś” nr 24) wkładły
się następujące błędy zniekształcające
sens zdań: w spalcie czwartej, wiersz
ostatni — zamiast „imperializmu” win-
no być „imperializm”; w spalcie
piątej — wiersz ósmy i dziewiąty od-
doła — zamiast „Komunistycznej Bra-
zylji” winno być „Komunistycznej Par-
tyi Brazylii”.

Ponadto w przypisie nie podano na-
zwiska Janiny Wrzos, tłumaczki „Zie-
mi krwi i przemocy”.



Magnat kolejowy jako pater'wany zderzak bezpieczeństwa. Satyryczny rysunek angielski z 1845 r.

o podwyżce plac, poprawie warunków
i zniesieniu pracy nieletnich.

Pewnego razu pan Pickwick, be-
dąc w gościnie u pana Wardle, asy-
stował przy polowaniu na wrony:
„Stary gentleman dał znak i dwóch
obdarzonych chłopaków zaczęło zwolna
gromadzić się na drzewo. Po co te
dzieci? — spytał nagle pan Pickwick.
Dobre jego serce opowiadała trwoga;
słyszał bowiem o nędzy wieśniaków
i niedaleki był od przypuszczenia, że
właśnie nędza zmuszała te biedne dzie-
ci służyć za cel dla strażaków, aby w
ten sposób zarobić na kawalek chle-
ba dla rodziców”.

Ale Dickensa interesowały inne
sprawy. Wrómy zatem do głównych
konfliktów, do głównych postaci po-
wieści. Pierwsze rozdziały książki.
Oto pan Pickwick — śmieszny, stary
niedołęga, nad którego wątpliwymi
cnotami skłonni jesteśmy kreć gło-
wa. Jednakże ta koncepcja postaci
pana Pickwicka bardzo szybko się

dziej, ale przed nim kryła pana Pick-
wicka niezawodna tarcza — renta.

Pan Jingle, beczelny lotrzyk, któ-
ry wciąż wyprowadza w pole zacho-
wego Pickwick-
a, w pierwszych partiach
powieści, gdzie jeszcze mocno powat-
piemy w moralne wartości pick-
wickistów, różni się od nich niewiele.
Głównie tym, że nie ma pieniędzy.
Wpada w nieszczęścia — z powieści
wynikałoby, że to niecie życie pro-
wadzi go do więzienia za długi — ale
pomocna dłoń pana Pickwick-
a naga mu stać się znowu godnym
członkiem społeczeństwa. Zwycięża
filantropia i potęga gołębiego serca.
„W każdym razie, kochany panie —
mówi pan Parker — pański czyn przy-
noszi panu zaszczyt, bez względu na
skutek, jaki przyniesie. Czy ten ro-
dzaj uczynności tak dalekowzroczny
i wspaniałomyślny, że aż rzadko sto-
sowany, może być nazwany prawdzi-
wym miłosierdziem, czy emaniem
siebie samego — pozostawiam do roz-

